CENA 20 ZŁ

W numerze: Wielkie bestiarium rzeczywistości niemieckiej

Odra tygodnik

NUMER 5 (114) KATOWICE — WROCŁAW — SZCZECIN — OLSZTYN, DNIA 1 LUTEGO 1948 ROKU ROK IV

CZYTELNIK

WROCŁAW

KATOWICE

BIBLIOTEKA GŁÓWNE MORSKIEGO HANDLU GDYNI

JAN BRZOZA

Ilustr. M. Wyrożemski

Na granicy

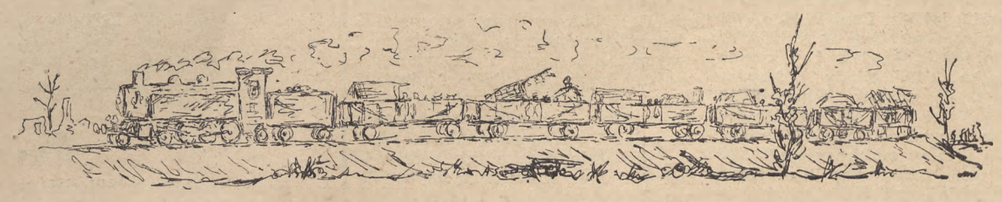

Pociąg wlókł się powoli przez pola i lasy. Stukał buforami, skręcał się w zygzaki ostre, to wyciągał w długi rząd czerwonych wagonów. Czasami pogwizdywał melancholijnie, spowijał się w kłęby czarnego dymu i dudnił posępnie wśród lasu. Za wagonami snuły się srebrne nici babiego lata i złote źdźbła słomy. Krowy patrzyły rozmarzonymi oczami. Ludzie milczeli. Październikowe słońce przypiekało i sprowadzało dziwny smutek. Hej — jedzie pociąg przez rude pola i czerwone lasy! — W jego miarowym dudnieniu jest jakaś żałość, która przypomina dawne piosenki, śpiewane w dzieciństwie na pastwisku. Marysi Stawarzównie takby się chciało zaśpiewać, szeroko piskliwie. — „Pojechał, pojechał, bodaj się nie wrócił, dałam mu chusteczkę, żeby się nie smucił" — a tu zamiast pieśni tak coś ciśnie w gardle i łzy duże jak groch spadają na brodę, rozmazują się po twarzy, osiadają na rzęsach i zasłaniają pędzący świat. — Hej, gdzie to jest teraz Michaś, kochanie serdeczne! Gdzie to twoja czupryna płowa zwisająca spod podartego daszka czapki? Gdzie te oczy bure, te usta czerwone jak z płatka róży wycięte? Gdzie ty jesteś teraz sokole mój, pierwszy z pierwszych na świecie? Gdzie ty jesteś chłopcze z kosą w rozmachu wśród padającego pokotem srebrnego żyta. Jak to machałeś ręką z partyzanckiej taczanki, która odjeżdżała porwana gwałtownie przez zapienione konie o wzniesionych kopytach i rozwianych grzywach. Odjechałeś Michasiu w obłoku niebieskiej kurzawy wśród grania harmonii, które słychać było jeszcze długo, daleko, daleko...

Oczy ludzkie zaczerwienione były od pędu pociągu a może od łez. Na stacjach były długie postoje. Nocami palił przymrozek, który pokrywał ściany i krawędzie wagonów białym szronem. Małe dzieci trzeba było owijać w słomę i szmaty. Podczas postojów na stacjach trzaskały ogniska, przy których grzali się ludzie i warzyli strawę. Kierownik transportu biegał do naczelników stacji, użerał się o szybsze wyruszenie w dalszą drogę, kłócił się z maszynistą, odpędzał dzieci od torów. Ludzie chodzili do maszyny po wodę i usiłowali porozumieć się z maszynistą i jego pomocnikiem. Maszynista nie znał zupełnie ich języka. Bełkotał coś niezrozumiałe, machnął ręką i błyskał białkami oczu na brudnej twarzy. Kierownik transportu wściekał się i mówił, że maszynista to jakiś Tatar. Jego pomocnik był wesołym chłopcem. — „Dawaj" — krzyczał nieustannie, spluwał kącikiem ust i wzruszał ramionami. Wzruszał zwłaszcza wtedy, gdy pytali, kiedy wreszcie pociąg pojedzie dalej. Ale pociąg nie odjeżdżał i stał całymi dniami i nocami. Ogniska paliły się trzaskając trwożliwie. Na ziemię padały iskry. Potem maszyna znowu wyła smętnym rosyjskim basem i wyruszała w nieznaną dal. Znowu koła zaczynały wystukiwać żałosną melodię dawno zapomnianych piosenek. Wtedy przed oczyma ludzi stawały znowu sady ukwiecione przepychem wiosny i wierzby nad potokiem i łąka pokryta szmaragdową makatką i grusze stare małgorzatki i strzechy niskie i przyzby zadumane, gdzie się tyle przeżyło złego i dobrego. I jałowcowy dym gotujących się wieczerzy i zadymki śnieżne, świszczące w kominach niesamowite historie o duchach, diabłach rogatych i pieśni o panu Rzewuskim, hetmanie, który duszę sprzedał diabłu. — „Hej pane Rewuckij, hej pane hetmane!" — zawodziło w kominach... I wieczory długie, pachnące macierzanką i stepem, który nocami wzdychał i zawodził wichrem od Dzikich Pól płynącym, który dzwony jakieś przypominał, legendy i kiedyś zasłyszane powiastki.

Szumiał pociąg w lasach, dudnił rozpaczliwie po polach, sypał iskrami i gubił po drodze ludzkie łzy. Brudził nieskazitelnie czysty błękit nieba czarnymi plamami dymu. Sapał ludzką rozpaczą i parskał ludzkim gniewem. Czasami na czystym polu stawał i wtedy wzdłuż wagonów biegł kierownik ostrzegając, żeby nikt się nie ważył wychodzić, bo niebezpiecznie. Noce były ciemne i zapełnione śmiertelną ciszą. Serca ludzi biły żywo. Wszędzie, gdzie oczy ludzkie mogły na czymś spocząć, wszędzie były ruiny. Sterczały kikuty kominów, na drogach i polach walały się resztki jakichś machin wojennych. Lufy armat wymierzone były bezsilnie w błękitne niebo. Tragiczne koła samochodów, resztki samolotów, okaleczone wagony kolejowe, które wyglądały, jakby je zmiażdżyła jakaś niesamowita, piekielna moc. A na stacjach ruch, pełno ludzi, twarzy, rąk, oczu, gadania, gwaru. Na stacjach — gryzący dym ognisk, kupy ludzkich i zwierzęcych nieczystości, bieganina i kłótnie. Na stacjach było pełno innych pociągów z repatriantami, które tu stały jeszcze dłużej i ludzie zdołali się już zadomowić. Chodzili do miasta na targ, sprzedawali swoje rzeczy, kupowali wódkę. Lała się wódka, leżały rozbite flaszki, płynęła pieśń do wichru stepowego podobna. Bójki wybuchały zacięte, wśród których żołnierze usiłowali przywrócić spokój. — „Anu dawaj, nie bezpokojteś, anu ludi spat nada, nu cztoż, ech wy Polaki..."

Na jednej stacji zapchano pociąg na ślepy tor, lokomotywa odjechała i teraz zdawało się, że już stąd nie prędko wyjadą. Kierownik transportu pokiwał głową, potarł się ręką po bladej twarzy i poszedł. Nie wrócił. Ludzie pokładli deski i wyprowadzili z wagonów bydło, które potrzebowało trochę ruchu. Nic tam nie było na rudym ściernisku, ale zawsze tu mogło pochodzić, poskubać. Jałówka Tosiów to nawet zbrykała się i pognała daleko, ledwie ją Jasiek dogonił i na sznurze przyciągnął. Dobrze było patrzeć, jak z podniesionym ogonem w wesołych podskokach gnała przez pole. Jasiek Stawarzów kuśtykał na tej jednej nodze od wagonu do wagonu i straszył swoją okropnie pokaleczoną twarzą. Pokazywał stos cegieł leżący nieopodal i roznosił wieść, że Rel już sobie zbudował niezłe palenisko. Nawet blat jest żelazny. Za jego przykładem powstały przed każdym wagonem swoiście pobudowane kuchnie, gdzie całymi dniami warzyła się strawa, gromadziły kobiety i dzieci.

Jasiek Brylów przyniósł skądś cały rulon papy, trochę desek i zaczął na dobre pokrywać swój wagon dachem. Resztę odstąpił Kiziom, bo wszyscy mówili, a zwłaszcza stary Derkacz, że będzie deszcz. Rzucili się ludzie na poszukiwanie materiałów na dachy. Przynosili deski, jakieś dykty, blachy, stare drzwi a Rel, jak wiadomo, przyniósł nawet roletę z jakiegoś sklepu. Zawrzała robota koło pokrywania wagonów. Stukały młotki, siekiery a Kizio jak zwykle najchytrzejszy zbudował dach tak wysoki, że wszyscy pobiegli podziwiać.

— Kizio, tym dachem most zawalisz, jak będzie pociąg jechał — mówił z uśmiechem Klimczuk podciągając czapkę w górę czoła.

Patrzyli wszyscy na robotę Kizia, który gładził rzadkiego wąsa. Rzeczywiście wagon Kizia wyglądał, jak psia buda, lub domek holenderski. Misternie ułożone deski, drzwi, zwłaszcza jedne jakieś ozdobne z rzeźbami aniołków, tworzyły wysoki dach, dwustronnie spadzisty. Ludzie patrzyli w milczeniu. Dopiero któryś z młodszych rzucił uwagę, że wagon podobny jest teraz do gołębnika u pana starosty.

Wtedy wszyscy wybuchnęli śmiechem. Chóralny śmiech, trzęsące się policzki, wystające pojedyncze zęby, roześmiane twarze, które w pewnej chwili zaczęły się wydłużać i oglądać poza siebie. Tam wśród kobiet, dzieci i psów szli trzej żołnierze. Jeden z nich krzyczał, że potrzebuje krowy. Miał na głowie furażerkę zadartą na bakier, błękitne oczy i jasnoblond czuprynę. Polecieli wszyscy w tamtą stronę i otoczywszy żołnierza, zaczęli pytać o co chodzi.

— Karowu mnie nada!

— Jaką krowę? Co za krowę? Co on chce?

— Nie budu razgawariwat. Karowu mnie nada!

Chwycił za postronek u rogów krowy Łosiowej, która akurat nadeszła. Łosiowa rzuciła się na żołnierza z pięściami. Zaperzyła się jak nigdy.

— Ja ci dam krowę — krzyczała na cały głos.

Żołnierz cofnął się przed taką furią i oglądał za innymi krowami. Wtedy przystąpił do niego Wyka. Wziął go za ramię, z drugiej strony chwycił go Kizio. Zaczęli tłumaczyć żołnierzowi, że są repatriantami i że wiozą krowy do Polski. Potem inni otoczyli żołnierzy i tak całą grupą zaczęli się oddalać od pociągu. Poszli w stronę miasteczka.

Najwięcej kobiet zgromadziło się teraz koło wagonu Królów. Zachowywały się bardzo dziwnie. Odpędzały dzieci, które były zaciekawione o czym to szepcą. Gdy przechodził jakiś mężczyzna, milkły nagle spuszczając głowy. To było ciekawe. — Bo „moja kumo, to się nie uda. Takie dziecko"...

Policzki zaczęły pokrywać się rumieńcami a ręce gestykulowały coraz żywiej. Rozmowy były coraz głośniejsze. Najbardziej zapalała się Królowa. Ceglaste rumieńce na kościach policzkowych, kosmyki zburzonych włosów spod chustki i ręce, którymi wywijała lub trącała na wszystkie strony.

— A bo mówicie kumo, że to niemożliwe — krzyczała głośno — a przed wojną stało w gazetach, że taka mała urodziła dziecko.

— Mała, to może była, ale stara — rzuciła Łosiowa, przywiązując krowę do zderzaka.

— Nie, mówię, nie mała ale młoda.

— A ile miała lat?

— W gazecie stało, że dziesięć.

To było zdumiewające. Dziesięć lat? Kobiety przysunęły się do siebie jeszcze bliżej. Słuchały teraz szeptu Królowej, która opowiadała im tą niesłychaną rzecz. Królowa sypała wartkim potokiem słów i oczy się jej zaokrągliły. Głowy kobiet to się nachylały, to podnosiły. Zerkały ciągle nieznacznie w stronę tamtego wagonu.

Od strony miasteczka przykuśtykał na swojej prymitywnej kuli Jasiek Stawarzów i opowiadał wszystkim trochę bełkocąc, trochę na migi, że tam w karczmie nasi piją z żołnierzami. Na pół uciętym językiem starał się opisać, jak to piją, jak śpiewają i całują się. Już nie zabiorą krowy!

— Kowa ne, kowa na e e e — bełkotał.

Gdy doszedł do grupki kobiet, umilkły słuchając relacji. Kiziowa prasnęła w dłonie, poprawiła chustkę na głowie i poleciała wołając, że już mu da temu staremu pijakowi. Inne kobiety rozeszły się do swoich wagonów, bo to zmrok zapadał i trzeba strawę ugotować. Dzieci zwołać. Dzieci rozbiegły się po mieście i nie wiadomo jak je odszukać. Nadeszli chwiejnym krokiem mężczyźni z żołnierzami. Wszyscy usadowili się przy kuchence Wyki. Było tam głośno i wesoło. Przy zapadającej ciemności stworzyli zbity tłum wokoło ogniska. Oświetlone z dołu twarze były chude i smutne. Kiziowa szarpała swojego męża za połę, odtrącał ją i brał żywy udział w rozmowie. Andrzej Wyka siedział na stołku razem z żołnierzem. Trzymali się za szyje i usiłowali jeden drugiego przegadać.

— Ty Rus dobry człowiek.

— Da ty Palak charoszyj.

— Kiedy pojedziemy, nie wiesz to?

— Nie znaju a ty wsio takoj charosz...

— Ty charosz, ja charosz, my wszyscy charosz a ty nie wiesz, kiedy pojedziemy.

— Pajediesz, pajediesz.

— Bo wiesz, tak stoimy tu i stoimy jak na lodzie. Ani tu ani tam. Takie drzewka wyrwane z ziemi.

Tu Andrzej Wyka rozczulił się, zerwał czapkę z głowy i rzucił ją daleko. Zaczął potrząsać żołnierzem.

— Nie wiesz nic a my tu siedzimy. Zrób tak żebyśmy pojechali, zrób...

Inni też zaczęli prosić, klepać po plecach. Wskazywali na wagony, które stały czarne. Biła z nich jakaś tęsknota odbytej drogi dalekiej, zapach wiatru i kraju, który opuścili. Hej daleka drogo! Żołnierze zaśpiewali piosenkę o dalekiej drodze na morzu.

Tawarisz pajediem daloko,
Po dalsze od naszoj ziemlie.

I gdy poszli już sobie, jeszcze pieśń snuła się pomiędzy buforami, tęskna, przeciągła jak westchnienie. Potem zapadła głęboka cisza nocna. Wszyscy spali, prócz Wilkowej i małej Marysi. Wilkowa nadsłuchiwała z zapartym oddechem, czy nie usłyszy jęku dziewczynki. Leżała tam w kącie wagonu na wiązce słomy przykryta kocami. Wilkowa ukrywała ją przed oczami ludzkimi, które nie zniosłyby takiego widoku. Marysia Mrozówna ocalała jedyna z całej rodziny. Ocalała dlatego z tej rzezi banderowców, że teraz chyba zostanie matką. Mała, czternastoletnia sierota. Wilkowa, wiejska akuszerka nie była pewna swoich obliczeń. W każdym razie przygotowała się na wszelki wypadek. Wyprawiła męża, ojca i dzieci do innych wagonów, przyszykowała wszystko, a przede wszystkim latarnię stajenną. Zapałki trzymała w zaciśniętej dłoni. Nie chciała świecić. Ciągle nie wierzyła. Nie chciała wierzyć. Zdawało się jej, że nie mógł to zrobić człowiek. Że wtedy wśród syczących zajadle płomieni i nieludzkiego charkotu mordowanych, nie było miejsca na taki czyn. Może to z tego ognia? Może z jakiejś szatańskiej siły? Bała się. Bała się panicznie nawet myśleć o tym, choć wiedziała dobrze, że wbrew wszystkiemu urodzi się coś. Ale co? Może potwór włochaty z kopytkiem? Może Jędza o jednym oku? W każdym razie to, co się urodzi, będzie dzieckiem mordercy całej rodziny Marysi.

Wilkowa nadsłuchując zaczęła odmawiać pacierze. Płynęły słowa żarliwej modlitwy nie na intencję szczęśliwego rozwiązania, nie o zdrowie małej matki, ale o to, aby nic się nie urodziło. Aby sczezło, zginęło jak siła nieczysta. Aby stał się cud i to wszystko okazało się złudzeniem, marą, snem ciężkim. A może, a może...

Jezu... Przyłapała się na strasznej myśli, że może mała nie wytrzyma... Na pewno umrze... Aż się poderwała i usiadła.

— Tfu —przecież wyraźnie odmawiam modlitwę za konających — pomyślała z przestrachem. — Wieczne odpoczywanie, racz jej dać Panie a Światłość wiekui...

Słowa modlitwy zdawały się grzmieć głośno wśród głuchej ciszy nocnej. Wilkowej zdawało się, że obudziła wszystkich. Że cały transport poderwał się i siedzi teraz jak ona nadsłuchując ponuro. W następnej chwili zdało się jej, że to ona umarła, bo nie słyszała nic. Jakby jej serce przestało bić. I wtedy w kącie Marysia zajęczała. Teraz trzeba się opanować. Trzeba przywołać całą energię i umiejętność. Zapalić latarnię.

Oświetliła Marysię. Gdy patrzyła na leżącą ścisnęła mocno wargi. Latarnia unosiła się pewnie ponad leżącą.

— Tak... To już... Na pewno.

Wilkowa wyskoczyła z wagonu i pobiegła po Królową. Starała się biec szybko i cicho. Królowa spała na skraju wagonu jak było umówione. Szarpnięta za nogę podniosła głowę.

— A co?

— Wstawajcie, już zaraz będzie.

— Jezu, idę.

Królowa spała lekko, gdyż przejęta była tym niezwykłym wypadkiem. Przybiegły zdyszane i wgramoliły się do wagonu. Przy świetle latarni ich oczy błyszczały szeroko. Marysia miała twarz spoconą i zaciśnięte mocno zęby. Obie kobiety zabrały się do roboty. Ich szorstkie spracowane ręce były tak czułe a serca biły szybko. Gdy Marysię chwycił paroksyzm, szeptały pieszczotliwe słowa. — „No już, już gołąbko miła"... „Boże, Boże" — szeptały zbielałe wargi. Marysia zapiszczała głosikiem dziecka a potem...

Ciszę nocną rozdarł głuchy ryk kobiety.

Rano rozeszła się wieść, że urodził się zdrowy chłopak. Królowa z Wilkową przyjmowały odwiedziny i dary. Do wagonu nie wpuszczały nikogo za żadne skarby. Natomiast prezentowały wszystkim dziecko w białej poduszce owiniętej pasiakiem. Miały rozradowane twarze i opowiadały szeroko jaki to miły chłopak. — „Jak kluska" — mówiła Królowa — „a maciupeńki. Tyci, tyci. A jaki czupurny"... Ludzie przychodzili jakby trochę przestraszeni, nieufni. Ale gdy się przypatrzyli dziecku, twarze ich się rozjaśniały. Kobiety nachylały się nad poduszką, cmokały i rozczulały się. Stara Wachowiakowa mamrotała nad główką dziecka jakieś pieszczotliwe słowa, które wysypywały się spoza jedynego żółtego zęba. Ludzie gwarzyli nad dzieckiem a potem wciskali Wilkowej węzełki, paczuszki, woreczki. Derkacz przyniósł kurę i wręczając ją przyłożył palec do ust, cmoknął i powiedział z rozjaśnioną twarzą:

— Dobrze, że chłopak. Szczęście będzie w podróży. Niech zdrów rośnie. On już nasz...

Brylowa przy wręczaniu garści cukru, ostatniego jaki miała, rzekła cicho:

— Niech mu słodko będzie i nam z nim...

Rozgniotła palcem na twarzy dużą łzę.

Naznosili ludzie darów tyle, że nie było ich gdzie złożyć. Od serca. Wesoło się jakoś zrobiło. Obie Derkaczówny śpiewały cienkimi głosami a mały Jasiek Stawarzów kuśtykał wzdłuż wagonów i bełkotał dobrą wieść. Sprawdziły się słowa Derkacza, bo gdzieś koło południa przyleciał zziajany kierownik transportu z wiadomością, że dziś jeszcze pojadą.

— Pakować rzeczy, ładować krowy i konie, żeby wszystko było gotowe — wołał na cały głos. Ruch się zrobił, gwar i nawoływania. Szczególnie na dzieci, które już się przyzwyczaiły do tego koczowniczego życia i chciały wylecieć na miasteczko. — „Franek, Jasiek, Magda!" — nawoływały matki w strachu. Przed zapadnięciem zmroku przyjechała lokomotywa i zaryczała... Potem przyszedł oddział żołnierzy, wśród których byli trzej znajomi z dnia wczorajszego. Żołnierze mieli pepesze a ich komendant konferował z kierownikiem transportu. Ten kazał się zgromadzić wszystkim kierownikom wagonów. Przemówił do nich o tym, że pojadą zaraz jak tylko zapadnie noc i że pojadą z żołnierzami jako eskortą. Nie wolno palić papierosów, nie wolno głośno rozmawiać, ułożyć się płasko na podłogach wagonów i kierownikom tychże nie wolno spać. Taki jest rozkaz towarzysza komendanta. A teraz wsiadać!

Wśród rumoru wsiadania rozeszła się wieść, że będą jechali przez kraj opanowany przez banderowców. Mogą napaść na pociąg, może być strzelanina. Żołnierze wsiedli po dwóch do każdego wagonu, lokomotywa ryknęła basem i pociąg ruszył. Szarpnęło wagonami, szarpnęło sercami, buchnęło białą parą. Jechał pociąg wśród ciemnej strasznej nocy sypiąc iskrami, które jak deszcz kładły się na niewidzialnej ziemi. Jaka długa jest noc, przez którą pędzi pociąg. Koła stukają rytmicznie i od tego stukotu powieki zamykają się same. A tu nie wolno. Powieki ciążą, głowy opadają, by za każdym wstrząśnięciem podnieść się w strachu. Noc ciemna i wokoło jest ten straszny kraj. Tu w wagonie nie jest tak groźnie. Stoją żołnierze z przygotowanymi pepeszami a tam w lokomotywie komendant wypatruje bacznie. Oh, jak ciężko jest jechać w taką noc! Andrzej Wyka usiłuje myśleć i układać sobie plany na przyszłość. Ciekaw jest jak się ona ułoży. Czy dojadą, czy będzie tam można żyć. Pociąg jedzie, koła śpiewają, a każde stuknięcie kopyt po drewnianej podłodze, każde chrząknięcie śpiących wypręża umęczone członki. Żeby to można pogwarzyć, papierosa zapalić. Teraz jest chyba najstraszniej, gdyż pociąg jedzie przez las. Czy nie zabłysną wystrzały i kule nie zatrzaskają po drewnianych ścianach? Jakiś dreszcz przechodzi przez skórę. Oh, już będzie świtało. Tam w

(Dokończenie na str. 2)

Jerzy Kowalski

zmarł dnia 22 stycznia we Wrocławiu, przeżywszy lat 54.

Pogrzeb odbył się dnia 27 stycznia we Wrocławiu, zwłoki spoczęły na cmentarzu św. Wawrzyńca.

Literat, autor rozpraw krytycznych, essayów oraz kilku tomów prozy. Tłumacz Demostenesa i autor wielu prac naukowych z zakresu literatury greckiej i rzymskiej.

Profesor zwycz. filologi klasycznej, Prorektor Uniwersytetu Wrocławskiego w r. 1946/47. Dziekan Humanistycznego Uniwersytetu J. K. we Lwowie w r. 1932/33. Dziekan Wydziału Humanistycznego Uniwersytetu Wrocławskiego w r. 1945/46, członek, założyciel i przewodniczący Wydziału Nauk Filologicznych Wrocławskiego Towarzystwa Naukowego, członek korespondent Polskiej Akademii Umiejętności, członek Zarządu Głównego i Prezes Oddziału Wrocławskiego Towarzystwa Filologicznego, redaktor „Eos", członek zwyczajny Towarzystwa Naukowego przy Kat. Uniwersytecie Lubelskim, Prezes Oddziału Wrocławskiego Polskiego Towarzystwa Etnologicznego, założyciel i pierwszy Prezes Towarzystwa Archeologicznego we Wrocławiu.

W Zmarłym Ziemie Odzyskane tracą jednego z pierwszych organizatorów życia literackiego i naukowego w odzyskanym Wrocławiu a redakcja „Odry" współpracownika i wiernego przyjaciela.

Na szlaku naszych praojców

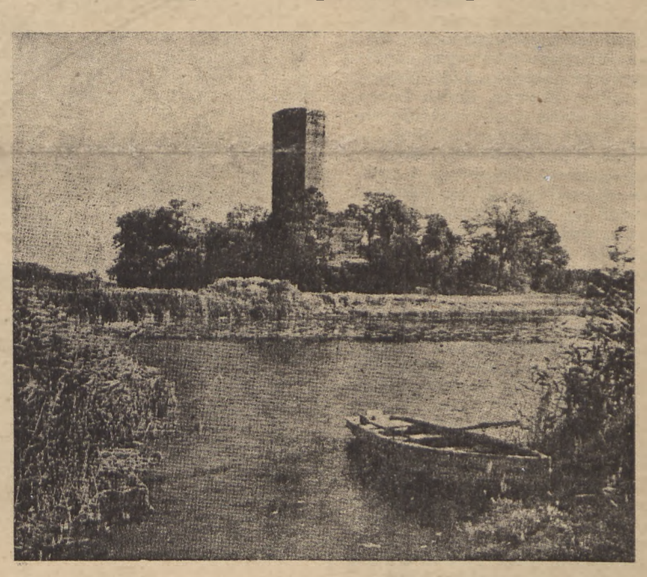

Mysia Wieża w Kruszwicy

Troska o zagospodarowanie Ziem Odzyskanych oraz odbudowa kultury i człowieka na tych ziemiach zasłania nam mimo woli oczy na osiągnięcia poważne, które są dokonywane w głębi kraju. W trosce o nasz węgiel, w trosce o rentowność naszych kopalń i kalkulację handlową tego produktu na rynkach światowych podjęto myśl przekopania gigantycznego kanału, który by drogą wodną połączył Śląsk z Bałtykiem. Prace te prowadzone na razie na odcinku Konin — Kruszwica są już na ukończeniu. Jezioro Gopło uzyskało tym sposobem połączenie z Wartą — zaś Wielkopolska uzyskała nowy szlak komunikacyjny, biegnący przez ziemie, które były kolebką naszej państwowości. Tym samym symboliczne połączenie Polski dzisiejszej, której siła tkwi w przemyśle śląskim z tradycją historyczną początków naszego bytu państwowego zostało dokonane.

Ze zrozumieniem wagi gospodarczej tych inwestycji robionych bez rozgłosu w Wielkopolsce oraz wagi danych naukowych i tradycji na terenie nadgoplańskim — centralna placówka planująca w zakresie badań prehistorycznych, a mianowicie Państwowe Muzeum Archeologiczne podjęło badania nad Gopłem. Kierownicze czynniki wyszły bowiem z założenia, że podczas prac ziemnych odbywanych przy budowie kanału, mogą być naruszone obiekty prehistoryczne o kolosalnym dla nauki znaczeniu. Chodziło przede wszystkim o to, czy czujne oko prehistoryka zdoła ocalić dla przyszłych pokoleń obiekty związane z pierwocinami naszego bytu państwowego, które w przeciwnym razie uległyby zniszczeniu nie zauważone przez laika.

Pracami konserwatorskimi w tej okolicy kierował z ramienia Państwowego Muzeum Archeologicznego mgr. Jerzy Antoniewicz, który przy współudziale kierownictwa budowy kanału dokonał nad jeziorem szeregu ciekawych odkryć. Dotychczasowe wyniki prac badawczych i konserwatorskich mgr. Jerzego Antoniewicza sprowadzają się do wykrycia grodziska(miejsca obronnego) datującego się jeszcze z okresu wczesnożelaznego koło wsi Goplano. Grodzisko to, jak stwierdzono na podstawie próbnych badań, było następnie zamieszkałe w okresie wczesnodziejowym przez Polan. Łączy się ono w jedną całość z systemem obronnym innych grodzisk nadgoplańskich dotąd nie badanych, a znanych tylko pobieżnie badaczom. Nadmienić przy tym należy, że grodzisko to w etymologii ludowej nosi nazwę „wyspy Piasta i Rzepichy" i jest położone u ujścia Noteci do Gopła. Dalszą rewelacją było znalezienie pre- i protohistorycznego brodu przez jezioro Gopło pod wsią Mielnica Duża. Bród ten był miejscem przeprawy naszych praojców na drugą stronę jeziora i jego używanie w świetle dotychczasowych wyników badań datuje się na początek powstania kultury łużyckiej, czyli na środkowy okres brązu (około 1400 przed Chr.). Ponieważ w miejscu, gdzie odkryto przeprawę przez jezioro natrafiono na konstrukcje drewniane jakiejś budowli, mamy w tym wypadku do czynienia przypuszczalnie z nowym miejscem obronnym, które broniło przeprawy przez bród od napastników. Badania podjęte na wiosnę 1948 roku wyjaśnią nam niewątpliwie tę zagadkę, która czeka na prehistoryka.

Dotychczasowe badania prowadzone przez mgr. Jerzego Antoniewicza nad Gopłem są wyrazem ogromu potrzeb, jakie stoją przed polską prehistorią. Należy dodać, że prac nad wyświetleniem roli terenów nadgoplańskich w ukształtowaniu się naszego bytu państwowego jest ogromnie dużo, a winny one być wykonane w szybkim tempie. Pamiętać bowiem należy, że za 17 lat przypadnie tysiącletnia rocznica pojawienia się Polski na arenie dziejowej. Do rocznicy tej wypada nam się przygotować poważnie w każdej dziedzinie naszego życia państwowego, społecznego i kulturalnego. Nie małe zadania leżą przed polską prehistorią. Obok Poznania i Gniezna winno się podjąć badania grodu kruszwickiego i terenów nadgoplańskich. Badania te wyjaśnią nam szereg mglistych legend, które tkwią w naszej świadomości narodowej.

Hieronim Skurpski

Co robią Niemcy

Wielkie bestiarium rzeczywistości niemieckiej, ukazane publiczności polskiej za jedne 20 złotych

Notatnik niemcoznawczy pęcznieje od szczególików, które uchodzą przed uwagą historyka. Mogą to być kiedyś doskonałe komentarze do wielkich wydarzeń, czasem zaś świetne uwagi obyczajowe. Zresztą jest tych zapisków tak wielka ilość, że trudno się zorientować w zeszytach. Często jednak warto się wczytać w notatki te, spisywane prawie co dzień, może to być pasjonująca lektura, przynosząca nadto nie mały pożytek. Oto kilka uwag i notatek, zapisanych na pierwszych kartach noworocznego zeszytu.

1 Hans Kasper, o którym swego czasu w „Odrze" pisał Edmund Osmańczyk, że należy do najlepszych satyryków i humorystów dzisiejszych Niemiec, wpada często w refleksyjność a studiując historię łapie analogie lub miesza postacie, z czego często rodzi się jego zgryźliwy dowcip. Z jego teczki, wypróżnianej na łamach berlińskiego „Der Kurier", dwie notatki. Pierwsza: Hans Kasper modli się — „Kochany Boże, nie proszę Cię o wojnę w nowym roku. Ale, jeśli można, skończ takie z tym pokojem." Druga: Po drugiej punickiej wojnie Napoleon powiedział do swoich oficerów: — „Messieurs! Gdy jeden człowiek traci rozum, jest źle. Gdy kilku straciło rozum, jest niebezpiecznie. Kiedy jednak wszyscy tracą rozum, wtedy jest tak jak obecnie."

2 Pismo offenburskie „Unser Tag" zamieściło w grubej obwódce na czele numeru następującą złotą myśl Peryklesa: „W człowieku, który nie bierze żadnego udziału w życiu publicznym, widzimy nie miłującego spokój obywatela, lecz leniwego i niepotrzebnego członka państwa." Rzeczywiście część Niemców wierzy w zmiany polityczne i dlatego ucieka od polityki w myśl starej zasady „sicher ist sicher" i „bin froh, dass ich vor kurzem davon gekommen bin."

3 W Hollywood zamierzają nakręcić film według „prawdziwych pamiętników Goeringa, zakupionych niedawno w Niemczech. Większe zaufanie jednak wzbudza w nas książeczka, kolportowana od kilku miesięcy w Berlinie pt. „Z biurka Goeringa". Jest w niej jeden rozdział, mówiący o tajnych zezwoleniach na wywóz dewiz, wydawanych różnym gwiazdom filmowym. Znajdują się tu nazwiska Lidii Baarowej, Lilian Harvey, Zarah Leander obok Janningsa (znajduje się w tej chwili w Ameryce Południowej, gdzie przerzucił się na reżyserię filmową), Eichberga i państwa Kiepurów. Choć Kiepura przestał już być obywatelem polskim, warto by się tymi szczegółami jego dobrej komitywy z hitlerowcami zainteresować i przedstawić je publiczności polskiej. Wciąż jeszcze bowiem są u nas ludzie, którzy uważają go za bohatera polskości, wciąż jeszcze w niektórych miastach Ziem Odzyskanych istnieją ulice Jana Kiepury.

4 Wydajcie Wolfganga Borcherta, piszą krytycy niemieccy pod adresem wydawców. Borchert umarł w zeszłym roku mając zaledwie 26 lat. Śmiertelnej choroby nabawił się w więzieniu hitlerowskim. Oto próbki z jego „Opowieści z czytanki". Pierwsza:

„Byli kiedyś dwaj ludzie. Mając dwa lata bili się wzajemnie rękami. Gdy mieli lat dwanaście, okładali się wzajemnie kijami i kamieniami. Kiedy minęło im dwadzieściadwa lat mierzyli w siebie nawzajem z karabinów. Gdy mieli lat czterdzieścidwa obrzucili się bombami. Kiedy mieli lat sześćdziesiątdwa rozpoczęli z sobą wojnę za pomocą bakterii. Umarli mając lat osiemdziesiątdwa. Pogrzebano ich obok siebie. Kiedy po stu latach przedzierała się przez ich groby dżdżownica, nie spostrzegła wcale, że pogrzebano tu dwóch różnych ludzi. Wokół była ta sama ziemia."

Druga:

„Gdy skończyła się wojna, wrócił żołnierz do swojego domu. Nie było w nim jednak chleba. Ujrzał wówczas człowieka, mającego chleb. Zabił go. „Nie wolno ci przecież nikogo zabijać" — powiedział sędzia. „Dlaczego nie?" — spytał żołnierz."

Trzecia:

„Po zakończeniu konferencji pokojowej ministrowie wyszli na miasto. Przechodzili obok strzelnicy jarmarcznej. „Postrzelać, panowie" — wołały dziewczęta o czerwonych wargach. Wzięli tedy ministrowie po karabinie i mierzyli w małych ludzi z tektury. W środku zabawy przyszła ku nim stara kobieta i zabrała im strzelby. Kiedy jeden z ministrów chciał je odebrać z powrotem, spoliczkowała go. Była to pewna matka."

5 Kontrolerzy tramwajów miejskich w Essen otrzymali w okresie przedświątecznym nową ozdobę mundurów, srebrzyste naramienniki leutnanckie. Prawdopodobnie wkrótce zaroi się na nich od gwiazd a na mundurach zabłysną tramwajarskie krzyże żelazne i krzyże zasługi. Do faktu tego powiedział La Rochefoucauld co następuje: „Choć wiele już uczyniono odkryć w krainie miłości własnej, sporo przestrzeni zostało tam jeszcze nie zbadanych."

6 W wielu pismach niemieckich ukazały się obszerne streszczenia artykułu Aleksandra Jackiewicza o literaturze polskiej, zamieszczonego w wiedeńskim piśmie „Wort und Tat" nr 5. Ze streszczeń tych wynika — bo oryginału nie czytaliśmy — że największymi prozaikami polskimi są Stefan Otwinowski (na pierwszym miejscu), Stanisław Dygat i Adolf Rudnicki. W dalszej części artykułu powtórzona została raz jeszcze bajka, gorliwie kolportowana za granicą. „Związek pisarzy i poetów posiada w każdym centrum kulturalnym własne piękne domy, w których mieszkają jego członkowie, posiada własne restauracje."

7 Na terenie Berlina istnieją kolonie 25 narodowości. Oto jak niektóre z nich spędziły berlińskie święta. Rodziny amerykańskie i wojsko spędziły święta wspólnie z zaproszonymi do swych domów Niemcami. Hasło kolonii amerykańskiej brzmiało: „W każdym domu amerykańskim zaproszony Niemiec." 2000 Włochów obchodziło święta skromnie, bez większych wspólnych zgromadzeń ze względu na ciężką sytuację żywnościową. Żaden ze zwycięzców nie prosił ich do siebie. 300 Szwedów otrzymało bogate dary ze Związku Szwedów Zagranicą. Naturalnie podzielili się z Niemcami. Francuzi świętowali wspólnie. Generał Ganeval przeznaczył 14 tysięcy marek dla dzieci niemieckich. Żołnierze radzieccy w dniach 25 i 26 grudnia mieli normalną służbę. W berlińskim Domu Kultury Związku Radzieckiego obdarowano przeszło 3000 dzieci niemieckich. Polska kolonia, jedna z największych w Berlinie, urządziła małą uroczystość, w czasie której małżonka szefa misji wojskowej p. Prawin rozdzieliła między polskie dzieci dary z Polski. Wspólnie z dziećmi niemieckimi świętowali Duńczycy, Szwajcarzy, Chińczycy (których kolonia liczy 200 członków). Holendrzy wyjątkowo w tym roku ze względu na brak żywności spędzili święta w własnym gronie, misja australijska obdarowała 100 dzieci niemieckich, kanadyjska 45 dzieci niemieckich kolaczem polanym alkoholem, jak każe kanadyjski zwyczaj świąteczny.

8 Ukazała się wielka historia współczesnej literatury niemieckiej od 1885 do 1947. 590 stron, dwa tomy, wiele fotografii. Autorem jej jest Paul E. H. Lüth. Autor urodzony jest w r. 1919. A zatem sędzia, krytyk i wizjoner rocznika 1919. Kiedy hitleryzm doszedł do władzy, autor miał lat 14. Przez cały okres hitlerowski przebywał na terenie Niemiec. Wielu pisarzy emigracyjnych, którzy dziś przewodzą literaturze niemieckiej, zna tylko ze słyszenia. Podobno nie czytał nawet Manna „Czarodziejskiej góry". Napisał historię literatury, sądzi, porównuje — choć wszystko to jest mu znane jedynie z lektury recenzji w czasopismach powojennych. Krytyka zastanawia się nad osobliwościami tej książki. Angielka Claire Sheridan napisała kiedyś książkę „Ja, moje dzieci i mocarstwa światowe". Była to zabawna książka, oceniająca historię świata poprzez atmosferę małego kółeczka i znad koszyka robótek ręcznych. Z takiej perspektywy nie można jednak oceniać literatury. Chyba, że Lüthowi chodzi o pomieszanie pojęć, o chaos pojęć i sądów, w których łatwiej pływać będą mętne typy literackie, skompromitowane współpracą z hitleryzmem. Książka Lütha daje tego niejako dowody.

9 W najbliższym czasie z obozów angielskich wyjdzie na wolność 6000 internowanych SS-manów. Zwolnieni zostaną wszyscy podoficerowie oraz wszyscy ci, którzy urodzili się po 1 września 1919. Do wypadku tego zanotować należy myśl G. B. Shawa z przedmowy do „Majora Barbary": „Jest rzeczą niezwykle ciężką przekonać ludzi, że zło jest złem".

WISZ.

Na granicy

(Dokończenie ze str. 1)

tyle robi się jasno. Kawał nieba wąskim pasemkiem jakby pojaśniał. Lecz nie. To się tak tylko zdawało. Natomiast po tamtej stronie rzeczywiście pojaśniało. Robi się coraz jaśniej i jaśniej i teraz widać, że to łuna pożaru. Taka sama, jak wtedy w Hanaszowie. Żołnierze w milczeniu pokazują łunę.

— Widzicie, łuna — mówi szeptem Wyka wskazując palcem. — U nas była taka sa...

— A ty małczy — syczy basowy szept żołnierza.

Wyka milknie i patrzy teraz w tamtą stronę. Wychyla głowę z wagonu, patrzy w tył i wprzód. O, tam łuna na przodzie i w tyle. Cały kraj objęty pożogą. A tamta łuna to chyba największa. Sięga wysoko jakimś dziwnie ostrym słupem i jest czerwona jak krew. Żołnierze teraz odpychają go do środka wagonu, kładą się plackiem na podłodze i szykują pepesze. Wyka zaparł oddech. Pociąg zwolnił i stanął. Po chwili ruszył znowu. Nabrał rozpędu i jedzie coraz szybciej. Bufory stukają coraz szybciej, szybciej i pociąg jak oszalały pędzi na oślep. Teraz już się odechciało spać. Wagony skaczą panicznie przez jakieś zwrotnice stacji, dudnią na moście i wpadają na pola. Tam smuga błysków i grad kul prasnął w ściany wagonu. Tutaj błyski i pepesze zatrzaskały zjadliwie. Jedna minuta i tylko w ustach pozostał cierpki smak prochu. Nikt się w wagonie nie ruszył i nie wiadomo czy kogo nie zabiło. Andrzej Wyka przesuwa ręką po leżącej obok żonie. Jej ręka chwyta go za palec i ściska na znak, że się nic nie stało. Ściska tak lekko i tak jakoś, że krew zaczyna znowu krążyć w żyłach i serce bije normalnie. Żołnierze wstali i wychylili głowy. Pozostali już tak w tej pozycji stojącej. Był to znak, że najgorsze minęło.

Zajaśniał wreszcie dzień. Z początku szary, potem czerwony, zabarwiając szron na polach i wagonach. Maszyna zaryczała tryumfalnie i niedługo potem wpadła na stację graniczną. Żołnierze wyskakiwali z wagonów, tupiąc nogami i zabijając ręce. Kierownik transportu biegał wzdłuż wagonów, pytając czy się komu co nie stało. Na szczęście wszyscy byli zdrowi a Derkacz mówił, że nic się nie mogło stać, bo w pociągu jest nowy przybytek. Nowy obywatel polski.

— Dokumenty przygotować, zaraz przyjdzie kontrola. — Znowu ogarnął ludzi strach. Bo to różnie mówili, że tego nie wolno wieźć, że tamtego...

— Czy będą rewidowali? — pytał Rel wszystkich. Wiadomo, miał pewnie ruble. Czekali, czekali. Już się dzieci zaczęły rozłazić po stacji. Nareszcie wyszedł z budynku stacyjnego oficer z grupą żołnierzy.

— Dokumenty do perewierki! — wołał jeden z nich już z daleka. Oficer ruszył wzdłuż wagonów. Odbierał arkusz z rąk każdego kierownika wagonu, czytał go, pytał ile ludzi w wagonie, oddawał i szedł dalej. Bardzo szybko to szło. Gdy skończył kontrolę ostatniego wagonu, podniósł rękę do góry i krzyknął:

— Gatow!

Maszyna zaryczała i wtedy dopiero podniósł się wrzask młodej Brylowej, której Jasiek gdzieś się zapodział. Poleciała poza tamte wagony a kierownik dawał rozpaczliwe znaki, żeby jeszcze nie jechać. Pociąg jednak ruszał powoli. Ludzie krzyczeli, machali rękami a pociąg szedł. O, tam leci Brylowa z Jaśkiem na rękach. Dopada wagonu, wrzuca dziecko z pasją do środka i gramoli się ostatkiem sił. Nareszcie. Pociąg nabiera rozpędu. Ludzie machają rękami i czapkami. Odpowiadają im żołnierze a oficer trzyma dłoń przy daszku czapki. Pociąg znowu nabrał rozpędu. Wszyscy zasnęli wtedy, zdawało się, że pociąg jeszcze w górę pojedzie. Gdy się przebudzili, był już Przemyśl. Jasiek Stawarzów pokazywał palcem i bełkotał niezrozumiale.

— Ta, ta, o o o!

— On pokazuje polskiego żołnierza.

— Gdzie, gdzie?

— Tam, idzie torem.

— Jest, jest, polski żołnierz.

— A tam polski kolejarz!

Wyciągnięte palce wskazywały na idącego wzdłuż torów polskiego żołnierza...

Jan Brzoza

(Fragment powieści p. t. „Ziemia")

MIECZYSŁAW MISZEWSKI

W próżni

Z ostatnim śladem czołgów skrzyżowana pustka.
Na przedpolu już cisza, mgły stygną w okopach.
Krwią skończyła się spowiedź na otwartych ustach.
Ziemię słońce przykryło gdy nas granat dopadł,

Pochwycony w dłoń moją z niemieckich moździerzy.
Dnie parują nade mną i na przemian mokną.
Od lat kilku w swe życie przestałem już wierzyć,
W dal rozpiętą na brzozach i w drogę powrotną.

Sny ciszą wycieńczone o północy budzę
Zaczepiony o próżnię między mną a stokiem.
Z cienia palm i obłoków i z gwiazd mlecznych wróżę
I zagarniam horyzont nieobjętym krokiem.

Czasem — sterczę bezczynnie przed zamilkłym działem
Na próżno zapomniane odgadując cele,
Patrzę w przeszłość rozwianą jak niegdyś gdy stałem
W rocznicę mych urodzin, śmierć biorąc w udziele

Ja, Żołnierz Broni Pancernej
Złożony z ułamków i skrótów.
Poległy czwartego grudnia
W walce o — piaski Gambutu!

Kłosy

Śmierć powtórzono jeszcze raz
— a czasu było dosyć...
I nowy łan narastał z ciał
z bagnetów kwitły kłosy.

Dojrzały sierpniem spęczniał wóz,
Wypełnił brzegi stodół.
Podniosłeś kłos jak sen do ust
I śpisz na dnie zachodu.

K. L.

Dzień bez jutra wlókł ciała na wieczorny wypiek.
Ponad lękiem, czas pełzał w stronę własnych przeżyć,
A rosnący kolejno płonął krzyk za krzykiem.
Ktoś jeszcze wierzył w powrót, choć Bóg przestał wierzyć.

W głodnych oczach tęsknota czai się jak granat
Który nad żadnym nie wybuchnie celem.
Jest jeszcze inna droga, co z lufy esmana
biegnie w plecy na przestrzał i przybliża ziemię.

Są ręce tylko po to, by z dna martwych godzin,
własne strzępy wyciągnąć, pod światło, w zachwycie —
I łatać sen o domu, gdy dzień się narodzi,
Kogoś szeptem przeżegnać... i udawać: ŻYCIE!

O tej porze trwał apel — zwyczajnie —jak co dzień.

Szczecin — Władywostokowi

Kościół św. Jakuba (akwarela)

Najdalej na zachód wysunięty port słowiański — Szczecin — ma wiele cech wspólnych z najdalej na wschód wysuniętym portem Słowiańszczyzny — Władywostokiem. Dla podkreślenia tych wspólnych więzów, jakie z racji swego położenia pełnią oba porty, Zarząd Miejski Szczecina postanowił przesłać Władywostokowi skromny dar, mianowicie tryptyk, złożony z trzech obrazów malarzy szczecińskich, przedstawiający nasze miasto, port i robotnika szczecińskiego. Oto dwie prace, przeznaczone dla Władywostoku, wykonane przez szczecińskiego artystę-plastyka, Arkadiusza Konratskiego.

Zamek książąt piastowskich (akwarela)

U źródeł nędzy

Opowieść o bezrobotnych przedwojennej Warszawy *) wyszła spod pióra subtelnej poetyki — jest to jednak utwór realistyczny. Ta, wydana obecnie po raz drugi, powieść jest właściwie zbeletryzowanym reportażem, wierną fotografią wstrząsającej, niedawnej rzeczywistości — a akcenty i partie liryczne, jakimi przeplatane są obficie przeraźliwe drobiazgowe opisy nędz, tragedyj i ślepych zaułków wielkomiejskiego bezrobocia, podkreślają jedynie ich niesfałszowany literacką deformacją autentyzm.

Posunięta do najdalszych granic prostota i bezpośredniość opisu wydaje się być wynikiem świadomie w tej książce zastosowanego przez autorkę pisarskiego stylu, chwalebnej oszczędności środków artystycznych, owocem jej najszerszego pragnienia stworzenia powieści — dokumentu, przeznaczonej dla najszerszych mas czytelniczych. Fakt, że tego rodzaju dokument, to liryczno-reportażowe oskarżenie burżuazyjno-kapitalistycznego ustroju, jakim są niewątpliwie w wyznaczonymi ramami opowieści w zakresie „Bezrobotni Warszawy" stanowi cząstkę przedwojennego dorobku pisarskiego Brzostowskiej, rzuca na jej sylwetkę twórczą światło szczególnie korzystne świadczy nie tylko o jej pięknej postawie literacko-społecznej, lecz i o odważnym, czujnym i trzeźwym spojrzeniu poetki na otaczającą ją rzeczywistość dnia powszedniego.

Po przeczytaniu tej szczupłej książki łatwo rozstajemy się z jej bohaterami-bojownikami o kawałek chleba, dach nad głową i możność uczciwej pracy. Mimo iż wiemy, że jest to jedna z nieodwracalnych już na szczęście kart naszej przeszłości wizja owej tak wielu ludziom dobrze znanej, a przecież wstydliwie przesłanianej neonami reklam i dźwiękami dancingowej muzyki Warszawy — całej jeszcze podówczas, lecz toczonej czerwiami wyzysku, krzywdy i nędzy — mimo iż o tym wiemy, nieprędko schodzi nam z oczu wyzwolona śmiertelnym krwotokiem od głodu i bezdomności Łucja, zaciskający bezsilnie pięści na Pawiaku Franek wracający z całodziennej ulicznej włóczęgi na Annopol Wroński... A jeśli tak jest, sprawia to nie tylko temat opowieści Brzostowskiej, lecz i jej niepowszedni talent.

Eugeniusz Żytomirski

*) Janina Brzostowska: „Bezrobotni Warszawy", powieść Wyd. St. Cukrowski, Warszawa 1947 r.

DAPHNE DU MAURIER

VIII)

Generał Jego

Zbudziłam się już po dziesiętej rano. Nie miałam wcale ochoty na śniadanie, nie chciało mi się nawet wstać z łóżka. Toteż się nie zmuszałam do tego. Pięć minut po dwunastej. Kwadrans po dwunastej. Pół do pierwszej. Salwy ciągle nie słychać. Ani nawet wystrzału z muszkietu. O piątej Matty przyniosła mi obiad na tacy. Spytałam, czy nie słyszała jakich wiadomości. Na twarzy jej odmalowało się zmieszanie.

— Co się stało? — zapytałam.

— Jeden z żołnierzy Sir Ryszarda tak dziś mówił do wartownika: „Jakaś chryja dzisiaj w Plymouth. Jeden z najlepszych naszych oficerów został wzięty do niewoli przez Lorda Robartes i skazany na śmierć sądem wojennym. Sir Ryszard usiłował go odbić przez cały dzień, ale się mu nie udało."...

Usłyszałam potem w alei tętent koni, na który wartownicy nie zwrócili wcale uwagi. Ktoś wchodził po schodach powoli, ciężko i przeszedł do północnego skrzydła dworu. Zatrzasnęły się jakieś drzwi i znowu zapanowała cisza. Długo, długo, leżałam bez ruchu na wznak, czekając i nadsłuchując. Przed samą północą usłyszałam jego kroki w korytarzu. Błądził dłonią przez chwilę po drzwiach mego pokoju, szukając klamki. Świece były pogaszone, ciemność panowała zupełna. Całe domostwo pogrążone było we śnie. Zbliżył się zwolna i ukląkł przy mym łóżku. Położyłam mu rękę na głowie, a potem przytuliłam go mocno do siebie. Klęczał tak długą chwilę bez słowa.

— Opowiedz mi, jeżeli ci to sprawi ulgę — szepnęłam wreszcie.

— Powiesili go — odrzekł — na murach miasta, tak, żebym go mógł dobrze widzieć. Posłałem mu całą kompanię na odsiecz, ale skosili ich ogniem z muszkietów. Powiesili go w moich oczach.

Tak się skończyła wielka bitwa Ryszarda. Nie mogłam jej dla niego wygrać. Mogłam go tylko tulić do siebie w ciemności.

Okrucieństwo, z jakim przed tym traktował nieprzyjaciół, spotęgowane wracało teraz do niego. Panowie z parlamentu nie zapomnieli mu perfidii, z jaką tej wiosny, udając ich sprzymierzeńca, dostarczył królowi ich najcenniejszych tajemnic. Lord Robartes zaś wziął teraz srogi odwet za złupienie swego rodzinnego Lanhydrock, pozbawiając życia wysłannika, który niósł w kieszeni propozycję przekupstwa i zdrady.

Nadszedł teraz moment przełomowy w życiu Ryszarda, myślałam. Dowędrował do rozstajnych dróg. Prosta tragedia śmierci młodego chłopca albo go nauczy, że okrucieństwo nie jest właściwym sposobem postępowania, że nielojalność rodzi nielojalność i że nie uznawanie niczego poza subiektywnym sądem w krótkim czasie najlepszych przyjaciół zmieni na wrogów; albo też nie nauczy go niczego, i w dalszym ciągu, przez miesiące i lata pozostanie głuchy na wszelkie rady, pozbawiony skrupułów, rozgoryczony...

— Ryszardzie — szepnęłam. — Ryszardzie, moja jedyna, cudowna miłości...

Ale oto podniósł się z kolan; podszedł zwolna do okna i rozsunąwszy firanki, stanął przy nim w zadumie. Blask księżyca padał mu na ręce, wsparte o szpadę, ale twarz jego niknęła w ciemności.

— Pomszczę go — powiedział — Straszną zemstę wywrę na każdym jeńcu, który mi w ręce wpadnie. Nie będzie litości. Nie będzie pardonu. Nie daruję nikomu! Od tej chwili jeden tylko cel będzie mi w życiu przyświecał: tępić rebeliantów! Muszę jednak dowodzić całą armią, by móc to przeprowadzić po mojemu. Inaczej mi się to nie uda. Nie dopuszczę do żadnej dyskusji z równymi sobie. Nie będę się stosował do żadnych rozkazów, choćby nie wiem, kto mi je wydał. Jego Królewska Mość uczynił mnie Generałem Armii Zachodniej i — klnę się Bogiem — cały świat się o tym dowie!

Poznałam więc, że górę wzięła gorsza strona jego duszy. Gdybyśmy byli małżeństwem, albo prawdziwymi kochankami, mogłabym, dzięki codziennemu bliskiemu współżyciu nauczyć się łagodzić jego twardą naturę. Ale los sprawił, że byłam zaledwie cieniem w jego życiu, złudą tego, co mogło było być... Przyszedł do mnie tej nocy, bo mnie potrzebował, ale ani moje łzy, ani sprzeciw, ani zapewnienia wiecznej miłości nie powstrzymałyby go teraz od wejścia na szlak tej złowróżbnej, posępnej gwiazdy, która zaczęła mu właśnie przyświecać.

* * *

Ryszard mieszkał stale w Radford przez sześć następnych miesięcy. Chociaż jego kwatera główna mieściła się nadal w Buckland, i często robił wypady w różne zakątki Devonu, i Kornwalii, powołując rekruta do swej armii, w domu mego brata stała ciągle kompania jego żołnierzy i przeznaczone dla niego pokoje zawsze były gotowe na przyjazd Generała.

Wkrótce po Bożym Narodzeniu Ryszard postanowił wysłać Dicka wraz z wychowawcą do Normandii.

— Życie w Buckland nie jest bynajmniej dla niego odpowiednie — powiedział. — Póki jeszcze był Joe, wiedziałem, że jest ktoś, kto nie spuszcza z niego oka ani w dzień, ani w nocy. A teraz ciągle się muszę niepokoić, że jest tak blisko nieprzyjaciela, narażony na straszne niebezpieczeństwo, w razie, gdyby tamci się porwali na jakąś wycieczkę z miasta. Może sobie teraz pojechać do Caen, albo do Rouen, a jak się już to wszystko na dobre skończy, to go tu sprowadzę z powrotem.

Tak więc Dick przyjechał ostatni raz do Radford, by się ze mną pożegnać. Zarzucił mi ręce na szyję, wołając, że bardzo mnie kocha.

— Zobaczysz, nie będę wcale mogła cię poznać, gdy cię znowu zobaczę — powiedziałam, zmuszając się do uśmiechu. — Wiem przecie, jak się zmieniają chłopcy, kiedy przekroczą piętnasty rok życia.

Dick odpłynął do Normandii w ostatnim dniu grudnia, Ryszard zaś zabrał się do opracowywania planu generalnego szturmu na Plymouth, który, wedle jego zapewnień, tym razem miał się udać niezawodnie. Widzę go jeszcze, jak w swoim gabinecie w północnym skrzydle Radford ślęczy nad mapą linii obronnych Plymouth.

— Jak się zapowiada ta bitwa? — zapytałam go raz. — Ufasz swoim siłom?

— Tak — odparł. — Tak, jestem pełen nadziei. Plan jest świetnie obmyślany, żołnierzom też nic zarzucić nie można. Żebym tylko miał sztab, na którym bym mógł trochę bardziej polegać. Taki na przykład Edward Champernowne, twój dawny konkurent. Ten ma zawsze przypływ inteligencji, kiedy jest o dziesięć mil od wroga, ale jak mu się powierzy jakiekolwiek zadanie w czasie bitwy, kiedy wróg jest tuż, tuż, — to zdechł pies!

— Czyż nie możesz go zastąpić kim innym? — spytałam.

— Nie w obecnej sytuacji. Tym razem jeszcze muszę ponieść to ryzyko.

Szturm rozpoczął się następnego dnia przed samym świtem. Pierwszym odgłosem, który nas o tym powiadomił, było echo wystrzałów armatnich, niosące się ku Radford spoza Cattwater. Koło południa nadeszły pierwsze wiadomości, wedle których wojska królewskie miały zdobyć i obsadzić trzy nieprzyjacielskie redu-ty. O trzeciej po południu, kiedy pozostawały tylko dwie godziny do zmroku, wieści wyglądały mniej pocieszające. Rewolucjoniści przeszli do kontrataku i dwa forty udało się im odbić. Los Plymouth leżał teraz w ręku rebeliantów, którzy na całej linii wypierali rojalistów ze zdobytych przez nich pozycyj.

O pół do szóstej zasiedliśmy w hallu do obiadu. Jo, zgodnie ze swym zwyczajem, siedział na pierwszym miejscu. O kilka mil od nas, ważyły się losy wielkiej bitwy. Obiad już się kończył, kiedy wpadł mój brat Percy, który jeździł po wiadomości.

— Rebelianci ich wyparli! — rzekł ponuro. — Grenvile przegrał bitwę i stracił trzystu ludzi. Zdaje się, że rezerwy Grenvile'a, które miały w decydującym momencie przechylić szalę zwycięstwa na jego stronę, nie zdążyły nadejść w porę. Ktoś tu popełnił straszliwy błąd.

— Jasna rzecz, że jest to błąd samego Generała — rzekł Jo sucho — bo za bardzo ufał swym siłom.

— Podobno Grenvile sam zastrzelił oficera, odpowiedzialnego za niewykonanie rozkazu. Nie chcieli mi powiedzieć, kto to był, ale i tak wkrótce się dowiemy.

Nie mogłam oderwać myśli od tych trzystu ludzi, którzy pod zimowym, wygwieżdżonym niebem tulili twarze do zmarzniętej ziemi. Kiedy odwracałam głowę, by poprosić służącego o fotel, wszedł do sali młody sekretarz mego najstarszego brata.

— O co chodzi? — spytał Jo krótko. — Jest tu tylko moja rodzina.

— Pułkownik Champernowne śmiertelnie ranny leży w Egg Buckland — rzekł sekretarz. — Nie ranili go w bitwie. Postrzelił go z pistoletu sam Generał, kiedy wrócił do swej głównej kwatery.

Nastała chwila śmiertelnej ciszy. Jo powoli podniósł się z krzesła, bardzo blady, wstrząśnięty do głębi. Odwrócił się i spojrzał na mnie, równocześnie z Percym. W momencie olśnienia poznałam ich wspólną myśl. Siedemnaście lat temu, Edward Champernowne,

AMELIA ŁĄCZYŃSKA

Wdzydze

Nie przypuszczałam nigdy, że to nasze, wysoce już unowocześnione Pomorze, ma tak trudne do przebycia piaszczyste drogi, splątane w sieć śladów ginących, wśród pastwisk i lasów i wyprowadzających zakłopotanych podróżnych w pole, zamiast do upatrzonego celu. Ale jest pociecha — im dłużej się błąkasz i mozolnie brniesz przez piaski tym lepiej poznajesz okolicę — a jest urocza.

Jezioro Wdzydzkie w kościerskim powiecie powyginało się dziwnymi esami i floresami w lekko pagórkowy kraj i leży tam w kotlinkach ciche, błyszczące w słońcu, a zapomniane i dalekie ludzkim oczom i tylko rybakom na brzegach dobroczynne. A nad nim na pochyłym stoku, porosłym sosnami, nad okrągłym klombem pełnym więdnących floksów — domek lilipuci oparty o dwa słupki, a na ganku uśmiechnięta staruszka. Na schodki ganku i jego balustradkę wspięły się bezładnie powoje i astry, a w tym pstrym gąszczu tkwią tłumnie dziwaczne korzenie, ludzkie lub zwierzęce kształty — przypominające. Dziwne wrażenie potęguje się jeszcze przez fakt, że im pani Gulgowska domalowała oczy, usta, jęzory wywalone, skrzydła, dzioby. Te potworki zdolne nastraszyć niejednego dawniej, w dzisiejszym wieku realizmu leżą potulnie i grzecznie u stóp swej pani, niezdolne do złego jak też i ona sama pełna uprzejmości, uśmiechu i dobroci. Coś dziwnie swojskiego i rodzimego, a równocześnie baśniowego wieje z tego zacisznego zakątka. Trochę to polski dworek, a trochę polska na wskroć chata, a w domku trochę pańskości; miękkich poduszek, fotografii, albumów — ba! książek pięknych i trochę chłopskich malowanych krzeseł, trochę barwnych haftów kaszubskich, portret męski na ścianie, kominek sczerniały — pewno się tu zioła warzą w lesie uzbierane. Pracownia malarska jest również i szereg obrazków malowanych 3-ma barwami, biało - niebiesko - żółtymi, nie do arcydzieł zaliczyć je można, ale mają swój styl, charakter, jakąś dziwną świeżość, jakąś pogodę i ufność, że ten rodzaj właśnie tu jest odpowiedni — oddaje najlepiej ducha osady.

— Pani mieszka tu sama? Na prawdę sama?

— Mam do towarzystwa dwa koty w domu, a na obejściu kurę i 4 kurczęta. Pozwalam im grzebać po gazonie ile chcą, dlatego się nie dziwić, że trochę rozdrapana jest trawa i ścieżki nie tak porządne jak być powinny, ale one wygrzebując mech, spulchnia ją ziemię i oczyszczają ją, pomagają mi w ogrodowej pracy. Staruszka tłumaczy się, jakoby przepraszając za ten nieład.

— Dlaczego pani wybrała na mieszkanie tą właśnie wioskę? tak daleką od miasta i do której wiodą piaszczyste i opuszczone drogi?

— Mój mąż był tu nauczycielem w szkole. Pobudowaliśmy sobie dom duży o 10 pokojach, tu nad jeziorem, a chyba ładniejszej okolicy znaleźć trudno — spalił się jednak i w nim wszystkie niemal zbiory sztuki kaszubskiej — potem zamieszkaliśmy w tej szopce, mój mąż umarł, nie zbudowałam sobie już nic innego, choć dach przecieka, sufity grożą zawaleniem i tynk odpada, może dla mnie jeszcze wystarczy.

— A „Muzeum“ spaliło się wówczas także?

— Oczywiście spaliło się, trochę tylko rzeczy uratowaliśmy, trochę zebrałam nowych, pobudowaliśmy chatę...

— Można ją oglądnąć?

— Oczywiście. Pani Gulgowska zdejmuje z kołka „wielgachny“ klucz i prowadzi nas ścieżką wzdłuż klombu do swego skarbu. Stoi tu chata prawdziwie kaszubska, z podcieniem przy ścianie szczytowej, ze spadzistym dachem słomą krytym, cała z drzewa. Ze zgrzytem otwiera się zardzewiały zamek i z małej sieni wchodzimy do izby zastawionej prymitywnymi chłopskimi sprzętami. Piec w rogu jest cudowny, wygląda jak plastr miodu w pękaty stożek skręcony, kilka połamanych świątków żałośnie i cierpliwie wspiera się o ławę. Dwie skrzynie autentyczne, stare, z których motywy do haftu czerpała pani Gulgowska, ale których nie odważyła się odświeżać, albo przemalowywać, parę koszy ciasno splecionych z korzeni sosnowych, przemysł wskrzeszony przez pp. Gulgowskich dla zatrudnienia chłopów.

— Bo kiedy dziewczęta zaczęły zarabiać haftem, to i chłopi chcieli coś robić i wtedy mój mąż nauczył ich pleść te mocne i ładne kosze.

— Jak widzę, to państwo sami byli inicjatorami sztuki ludowej.

— Wskrzesicielami — i pani Gulgowska opowiada z prostotą i ochotnie co tu robili.

— Jestem Kaszubką, znam ten kraj i ten obyczaj na wskroś, a uczyłam się w Niemczech, gdy wróciłam w swoje strony i spostrzegłam jak zamiera tu sztuka rodzima, jak lud porzucił ją lekkomyślnie i odszedł od niej, zapragnęłam wskazać chłopom w naszej wiosce wvsoką wartość i jej piękno, zaczęłam gromadzić dziewczęta i uczyć je haftu. Było to w roku 1906, nie miałam prawie żadnych wzorów. Musiałam szukać motywów ze starych skrzyń i zdobionych sprzętów. Poddałam im ścieg płaski. Dziewczęta były pojętne. Wyroby ich miały wielkię powodzenie, ale teraz wszystko od dawna przerwane.

— Nie możnaby wznowić tej pracy?

— Owszem, hafciarki, moje uczennice, jeszcze są, ale nie mamy nici, nie mamy poparcia, ja sama nie czuję się już na siłach organizować kupno i zbyt. Przyjeżdżają tu ludzie niektórzy, obiecują pomoc, może coś z tego wyniknie.

— Te hafty jednak muszą być wznowione — myślę sobie — oglądając ich próbki bogate i barwne, przecie tak mały wkład do tego warsztatu potrzeba, po prostu igła, 10 zgrabnych palców i trochę... tylko trochę materiału.

Ale przed wyjściem z muzeum pokazała nam pani Gulgowska rzecz, która nas naprawdę osadziła na miejscu.

— W tej oto szafie wieszał mundury Napoleon I, a przy tym stole pisał rozkazy... Było to w roku 1807, gdy jechał na traktat do Tylży. Dwa dni spędził wówczas w chacie sołtysa w sąsiednich Wągrowicach. W rodzinie przechowano pamiątki, a ostatni ich właściciel złożył je tu w muzeum.

Nie będziemy dochodzić autentyczności tej sprawy, sam fakt, że istnieje takie podanie, wystarczy już, aby dodać jeszcze jeden kwiat do bukietu uroków rozpościerających tu niezwykły zapach.

Pani Gulgowska zamyka „Muzeum“ i drepcze po ścieżkach „parku“, chcąc nam pokazać całą swą wygrasowaną posiadłość. Stroma dróżka w dół prowadzi wprost do jeziora. W przystani łódź przywiązana, nieczynna; może od czasu śmierci p. Gulgowskiego, ale nas wiedzie staruszka w górę. Poprzez drzewa prześwieca tafla wody, na której właśnie zza chmur wyszło słońce — rzuca złotą ławę światła — idziemy jak urzeczeni w górę, w górę, aż tam u szczytu, gdzie lasek się kończy i zbiega gwałtownie w jezioro — stoi głaz wbity w ziemię, na nim wymalowany olejno krzyżyk i drobny motyw kaszubski — przed głazem klombik liliowych astrów. To grób pana Gulgowskiego. Więc nie jest tak całkiem samotną staruszką z domku na kurzej łapce...

— — — — — — — — —

P. Gulgowska położyła ogromne zasługi dla sztuki kaszubskiej i potrafiła ją przepoić polskim duchem. Jest chyba dziś jeszcze jedyną najlepszą jej znawczynią. Dopiero od niedawna odkryto ją, na nowo zwrócono uwagę na jej opuszczenie i niedostatek.

Woj. Rada Sztuki i Kultury Artystycznej wyasygnowała zapomogę jednorazowo, a Tow. Przyjaciół Muzeum Kaszubskiego w Kartuzach ma jej wypłacać stałą rentę.

Amelia Łączyńska

STANISŁAW TELEGA

Przegląd kulturalny Szczecina

Teatr przesłaniał dotychczas inne wydarzenia kulturalne w Szczecinie, będąc najbardziej atrakcyjną trybuną słowa artystycznego. Tylko od czasu do czasu przerywały tę hegemonię teatru imprezy literackie czy artystyczne, urządzane przez różne placówki kulturalne. W grudniu jednak tego roku, teatr zdystansowany został całkowicie przez trzy organizacje kulturalno-artystyczne: Klub Literacki, „Czytelnik“ i Klub Inteligencji. Organizacje te jakby się zmówiły (choć naturalnie był to przypadek), aby za jednym zamachem dać maksimum wartościowych i frapujących wieczorów autorskich, względnie odczytów.

Klub Inteligencji zorganizował więc dnia 12. XII. 47 r. ciekawy odczyt wybitnego publicysty młodego pokolenia, *Kazimierza Koźniewskiego, pt. „Człowiek ziemi nowej“*, następnego zaś dnia, wieczór autorski *K. I. Gałczyńskiego.* „Czytelnik“ oraz Klub Literacko-Artystyczny dały dnia 14. XII. wieczór autorski *Wł. Broniewskiego*, a dnia 17. XII. wieczór dyskusyjny pt. *„O nowe oblicze kulturalne Szczecina“*. Dnia 14. XII., przed południem wystąpiła z porankiem recytatorskim *K. Rychterówna*, a dnia 15. XII. wybitny pianista *Stan. Bielecki.* Czyli w ciągu sześciu dni 6 imprez i to niebylejakich — Gałczyński, Broniewski, Rychterówna, Bielicki. Nic dziwnego zatem, że wobec tego „przekroczenia planu“ kulturalnego, dwie ciekawe premiery: *„Głupi Jakub“* Rittnera i *„Człowiek, który szukał śmierci“* Eftimiu odsunięte zostały niejako w cień wydarzeń. To wyraźne zaktywizowanie życia kulturalnego naszego miasta nie jest czymś nieoczekiwanym. Od dłuższego już czasu Szczecin wyrównuje swoje kulturalne braki i stara się dotrzymać kroku innym miastom na Ziemiach Odzyskanych. Ten „wielki tydzień“ kulturalny Szczecina był więc może nie tylko krokiem, ale jakąś próbą skoku naprzód, aby nadrobić zaległości kulturalne. Czy jednak takie zagęszczenie imprez w ciągu kilku dni jest właściwe, to inna sprawa. Na ogół publiczność szczecińska okazała się dosyć chłonna na tego rodzaju imprezy i zapełniała szczelnie sale imprez literackich, mniej już recytatorskich i muzycznych, zawiodła zaś w teatrze, jakby w słusznym przewidywaniu, że teatr szczeciński nie zając i przecież nie ucieknie, natomiast autor „Zielonej gęsi“ może uciec, podobnie jak dostojny autor „Drzewa rozpaczającego“.

Odczyt Koźniewskiego był ciekawą próbą syntetycznego ujęcia procesu tworzenia się nowego typu człowieka na Ziemiach Odzyskanych. Odczyt nie wywołał, niestety, ciekawszej dyskusji, chociaż referat nastręczał dużo punktów zaczepnych. Fantastyczną „banię z poezją“ rozbił K. I. Gałczyński na wieczorze autorskim, zaintrygowawszy jednocześnie publiczność swobodnym i naturalnym zachowaniem się. Publiczność szczecińska jest jeszcze nieco sztywna na wieczorach autorskich, do których odnosi się z pewnego rodzaju nabożeństwem, co chyba nie bardzo było w smak autorowi „Kolczyków Izoldy“. Wieczór Broniewskiego był jeszcze bardziej celebrowany przez słuchaczy, do czego zresztą przyczyniła się i sama poezja autora „Bagnetu na broń“, poezja wybitnie społeczna, nastrojona na wysoki ton. Tamy powściągliwości pękły dopiero na wieczorze dyskusyjnym pt. „O nowe oblicze kulturalne Szczecina“. Tu starły się namiętności i wyładowała się mocno naelektryzowana atmosfera ostatnich szczecińskich polemik prasowych na temat zagadnień kulturalnych naszego miasta. Szkoda tylko że ci z literatów, którzy tę dyskusję zaczęli na łamach prasy, sprowadzili ją na wieczorze dyskusyjnym do żałosnego biadolenia nad swoją dolą „chudych literatów“. A przecież warto było zastanowić się nad szeregiem postulatów wysuniętych na tym wieczorze, jak np. ustanowieniem nagród artystycznych Szczecina, premiowaniem najlepszych przedstawień teatralnych, umasowieniem teatru, koordynacją działalności poszczególnych instytucji i organizacji artystycznych, stworzeniem regionalnego planu kulturalnego itp. W publicznej dyskusji, trwającej nieproporcjonalną ilość czasu, bo niemal do północy (też swego rodzaju fenomen!), zabierali też głos dwaj prezydenci miasta, przyrzekając wydatniejszą niż dotąd pomoc materialną w zakresie spraw kulturalnych. Wieczór ten, który zgromadził niezwykłą jak na stosunki szczecińskie, ilość publiczności, nie minął bez echa. Już w kilka dni później Miejski Wydział Kultury i Sztuki zwrócił się do prezydenta miasta z prośbą o wydatkowanie niewykorzystanej dotąd sumy 360 tys. zł na cele kulturalne, m. in. na: 1) *rozpisanie konkursu na wykonanie grafik i rysunków o tematyce szczecińskiej i morskiej. Nagroda wynosiłaby 100.000 zł, 2) przekazanie do dyspozycji Klubu Literacko-Artystycznego kwoty 100 tys. zł*, z przeznaczeniem jej jako nagrody za najlepsze *prace naukowe i literackie*, traktujące o Szczecinie; 3) nagrodzenie kompozytora *Konstantego Sobańskiego* kwotą 10.000 zł, *za hymn szczeciński;* 4) zakupienie kilku obrazów malarzy szczecińskich, celem *zapoczątkowania galerii współczesnego malarstwa w Muzeum Miejskim* (50.000 złotych).

Oto pierwsza konkretna korzyść wieczoru dyskusyjnego „O nowe oblicze kulturalne Szczecina“. Druga była myśl, wysunięta na dyskusji, aby Klub zaincjował ścisłe, zamknięte zebranie przedstawicieli wszystkich placówek i organizacji kulturalno-artystycznych, na którym opracowano by konkretny plan zaktywizowania życia kulturalnego. Skoro bowiem Szczecin nie ma dotąd Wojewódzkiej Rady Kultury i Sztuki, akcję tę podjąć musi na razie któraś z kulturalnych czy artystycznych placówek. Fakty te świadczą wyraźnie o tym, że aktywizacja kultury Szczecina ruszyła z miejsca.

JEDEN CZY DWA TEATRY?

Z nowym sezonem teatralnym otrzymał Szczecin dwa teatry zawodowe: Teatr Polski (dawna „Komedia Muzyczna“) i Teatr Mały. Czy rzeczywiście stać nasze miasto na dwa teatry? Obserwując publiczność szczecińską oraz stosunek władz miejskich do teatrów, przede wszystkim zaś małą aktywność związków zawodowych na odcinku kulturalnym, należy raczej wyciągnąć pesymistyczny wniosek. Teatr Polski przebył już wprawdzie szczęśliwie hiobową drogę trudności materialnych i z pewnym rozmachem rozpoczął nowy sezon, zdobywając się na dobry repertuar i — o dziwo — pozyskując publiczność, która na ogół polubiła ten teatr i wypełnia pustą niegdyś widownię. W dużej mierze popularność swą zawdzięcza ten teatr częstym gościnnym występom znanych artystów polskich oraz dobrej grze takich swoich aktorów jak *Artur Młodnicki, Gustaw Rasiński, Karol Zbyszkowski czy Michna Czosnowska:* widocznej poprawie repertuarowej nie towarzyszy jednak w tym teatrze poprawa wykonania aktorskiego. Brak mu poza tym reżysera i inscenizatora o większych ambicjach.

Teatr Mały zaczyna obecnie tę drogę teatralną, jaką w ubiegłym roku przechodziła Komedia Muzyczna — trudności materialne, mała ilość widzów, odległe położenie teatru, słaby zespół itd.

W rezultacie jednak ani jeden, ani drugi teatr nie mogą się zdobyć na większy, przynajmniej na razie, wysiłek i stałe związanie publiczności z teatrem, a źle pojęta ambicja przeszkadza im we współpracy i przyczynia się do rozproszkowywania sił. Efekt tego jest taki, że otrzymujemy przedstawienia, mniej lub więcej dobre, pozostawiające jednak zawsze wiele do życzenia. Najgorszą zaś rzeczą jest to, że teren Pomorza Zachodniego zaczyna *obsługiwać trzeci teatr i to amatorski!* Jak to zwykle bywa, amatorzy nie liczą się z niczym — ani z repertuarem, ani z wykonaniem — i prześladują miasta i miasteczka Pomorza Zachodniego taką tandetą jak „Małżeństwo Loli“, do tego w wykonaniu przypominającym żywcem szekspirowskich rzemieślników ze „Snu nocy letniej“. A przecież ten właśnie teatr amatorski ZZK najmniej jest powołany do tego, ażeby wyjeżdżać na prowincję! Powinien on raczej być szkołą talentów amatorskich, kształconych pod fachowym kierownictwem, przy czym zdolnych amatorów mogłyby dostarczyć obficie poszczególne związki zawodowe i ośrodki pracy. Ktoś więc powinien zająć się tym nieszczęsnym teatrem amatorskim i mocno wybić z głowy obecnemu kierownictwu fałszywe ambicje.

NOWE PREMIERY

W listopadzie wystawił Teatr Polski *M. Gogola „Ożenek“* oraz farsę muzyczną *Montgomerrego — „Cały dzień bez kłamstwa“*, w połowie grudnia *„Głupiego Jakuba“ — T. Rittnera.* Teatr Mały dał *„Maturę“ — Fodora*, w grudniu zaś — *„Człowieka, który szukał śmierci“ — Eftimiu.* Z tych kilku premier najciekawszymi były: *„Ożenek“ — Gogola i „Głupi Jakub“ — Rittnera.*

Gogol, jak wiadomo, wymaga swoistego stylu gry, podobnie jak u nas Fredro. Tę właśnie linię stylu popsuło przypadkowe obsadzenie kilku ról. Teatr Polski bowiem nie rozporządza dostateczną ilością dobrych aktorów, toteż wszelkie „dziury“ zapycha się aktorami, którzy dobrzy są w farsie muzycznej tego typu, co „Cały dzień bez kłamstwa“, a nie w rosyjskiej komedii obyczajowej. Pomimo tego, dzięki dobrej reżyserii tak doświadczonego aktora, jakim jest (gościnnie występujący) *Franciszek Rychłowski*, „Ożenek“ należy do udanych premier. Sam Rychłowski zabłysnął w kapitalnej kreacji jako Jajecznica. *Rasiński G.* pokazał wszystkie charakterystyczne gierki jako Stiepan, dając stylową postać typowego służącego rosyjskiego. *W. Wesołowski* nieźle wywiązał się z postaci Podkolesina. Typowym kupcem był *K. Zbyszkowski.* Natomiast swatka p. *Rajkowskiej H.* przypominała raczej polską Dulską niż rosyjską rajfurkę. Inni aktorzy grali dlatego, że grać musieli.

Trafniejszą obsadę miał „Głupi Jakub“. Może dlatego było to najlepsze przedstawienie w Teatrze Polskim, jakie widzieliśmy w nowym sezonie tego roku. Z wyjątkiem postaci Jakuba, z której p. *Zieliński* nie umiał wykrzesać nic więcej ponad przeciętną poprawność, reszta zespołu wywiązała się szczęśliwie ze swego zadania. Koncertowo zagrał Szambelana p. *Rychłowski*, który jednocześnie reżyserował sztukę. Z wielką dozą umiaru dotworzył postać porucznika p. *Daszewski J.* Bardzo dobrą, szczególnie w momentach dramatycznych, była p. *Czosnowska* jako Hania. P. *Rajkowska H.* jako Marta pozbyła się szczęśliwie swych „dulszczyźnianych“ gierek. Nawet p. *Czabanowski* jako Doktór pamiętał o tym, że najpospolitszym grzechem aktorów szczecińskich jest skłonność do łatwej przesady. *P. Więckowska E.*, nie umiejąca od czasu „Dwóch teatrów“ zdobyć się chociażby na jedną poprawną rolę, tym razem zagrała dość możliwie łatwą rolę Katarzyny. Całość uzupełniały dobre dekoracje p. *Rajkowskiego T.*

„Głupim Jakubem“ okupił Teatr Polski grzech wystawienia „Całego dnia bez kłamstwa“, wyreżyserowanego — o curiosum szczecińskie! — przez cały zespół. Nic też dziwnego, że wspólna reżyseria odbiła się fatalnie na przedstawieniu, przypominającym raczej rewię, aniżeli komedię muzyczną.

Teatr Mały, po „Pannie mężatce“, dał Fodora „Maturę“. Banał tej komedii potrafi chwilami nawet wzruszyć, przy dobrym jednak wykonaniu. Niestety — z wyjątkiem doskonałej gry p. *Szczurkiewiczowej* jako prof. Wimmer i p. *Karniewskiej* jako Katarzyny Seydel oraz p. *Fabisiaka* jako profesora matematyki — reszta zespołu zagrała po amatorsku. Lepszym nieco przedstawieniem był „Człowiek, który szukał śmierci“, rumuńskiego autora, Eftimiu, ale i tu zawiedli wykonawcy, którzy z każdego niemal momentu komediowego starali się wydobyć tylko farsę. Jedynie p. *Fabisiak* w roli włóczęgi dał wyrazistą i nieprzeszarżowaną postać, ale już p. *Michałowski*, jako kontrkandydat na burmistrza, mimo niewątpliwie dobrej gry, wpadł w farsowe łatwizny. Inni aktorzy nie zadawali sobie trudu, aby deklamację tekstu przemienić w grę. Nieprzyjemne słówko należy się też kierowniczce literackiej tego teatru, której wstępy do programu zadziwiają banalnością treści. W „Maturze“ objaśnienia te były poniżej poziomu maturalnego, w „Człowieku, który szukał śmierci“ były poszukiwaniem nieznalezionego problemu.

Trudności materialne, z jakimi walczy i długo jeszcze walczyć będzie teatr, usprawiedliwiają wiele błędów i potknięć aktorskich. Jeśli jednak kierownictwo Teatru Małego uniknąć chce za wszelką cenę fuzji z Teatrem Polskim, musi wykazać więcej ambicji, aby udowodnić celowość swego istnienia.

Stanisław Telega

ANTONI TREPIŃSKI

Na hitlerowskim indeksie

Dziwny to był wykaz książek, podlegających „natychmiastowemu wycofaniu z obiegu i zaprzestaniu sprzedaży w wydawnictwach oraz we wszystkich księgarniach“ pod groźbą zamknięcia przedsiębiorstwa! Rozesłany został do zainteresowanych czynników przez wydział propagandy przy szefie dystryktu w Warszawie w lutym 1943 r. (Nr 8224 l. 40/16). Jeśli by za zbyt głośne parsknięcie śmiechem nie groziła dosłownie kara śmierci, to zaiste wywoływałby tylko taki efekt wśród mieszkańców tzw. Generalnej Gubernii.

Konfiskata obejmowała m. in. dzieła wieszczów w kompletach i pojedynczych utworach bez wyjątku, T. T. Jeża, Konopnickiej i Piotra Maszyńskiego, autora licznych śpiewników szkolnych w całości, ale na przykład Sienkiewicza już tylko rzeczy niektóre, między innymi „Wiry“ i z Biblioteczki Uniwersytetów Ludowych nr 51: „Pójdźmy za nim“.

Przeczytawszy w wykazie: „Sienkiewicz, Pisma, tom IV treść: Sielanka, Szkice węglem itd.“, „t. VI Latarnik“ — myślało się: Aha! Chodzi oczywiście w niedomówieniu o nowelę „Z pamiętnika poznańskiego nauczyciela“, następnie o odwagę przenoszenia duszy utęsknionej z latarni morskiej do tych pól w byłej Polsce, malowanych zbożem rozmaitym. Ale dlaczego zakazano także oddzielnie „Janka muzykanta“ i „Za chlebem“, niezależnie od zbiorowych tomów nowel... albo Papée'go „Sienkiewicz jako humorysta“? Dlaczego uwzięto się na Czachowskiego „Wacław Sieroszewski“, kiedy jednocześnie z dzieł Sieroszewskiego wycofano jedynie dramat „Bolszewicy“ oraz panegiryk na cześć Józefa Piłsudskiego, detto w przekładzie na esperanto: „Marsalo a Piłsudski“ (ustęp o Magdeburgu?) — nie wiadomo, trudno zgadnąć.

Nie sposób wyciągnąć jakichkolwiek wniosków, czym powodowano się przy układaniu indeksu. Dlaczego zapomniano o Niemojewskim, a skreślono ni stąd ni zowąd Zbikowskiego „ABC wolnomyśliciela“, czemu Witkiewicza „Na przełęczy“, a nie Tetmajera „Na skalnym Podhalu“, traktującym o tym samym „Goralenvolku“ i „urdeutschen Umgebungen“, czemu znów „Poezje“ Tetmajera, a zapomniano o jego zbiorach prozy, jak „Wrażenia“ i „Z wielkiego domu“ z pysznymi kawałkami antyniemieckimi? Czemu Orkana „W Roztokach“, Goetla „Kar Chat“ i o dziwo! Burdeckiego „Lot w stratosferę“?

Zasadniczo indeks obejmował książki niewyczerpane, leżące na składach, które zobowiązane zostały naprzód do dostarczenia inwentarzy. Nie potrzeba dodawać, że wydawcy warszawscy unikali w nich starannie z góry tytułów, kłujących w oczy okupanta.

Napotkawszy w spisie książek zakazanych Iłłkawiczówny: „Ścieżką obok drogi“, łatwo było się domyśleć, że nie ma dla „minderwertige Nation“ żadnej ścieżki, ani żadnej drogi; Nałkowskiej „Granicę“... że granice polskie zostały zgodnie z oświadczeniem generalnego gubernatora „raz na zawsze“ zniesione. Przyjmowało się ostatecznie do wiadomości, ze zrozumiałych względów, że skreślono Wojtygi „Turnieje lotnicze“, Ossendowskiego „Najwyższy lot“, Budzyńskiego „Lufcik na świat“, Bartkiewicza „Wyzwolenie“, Dębickiego „Narodziny ideału“, Hilchena „Żeglugę morską“, Demela „Biologię morza“, X. Machaya „Drogę do Polski“, Czempińskiego „Na ojczyzny łono“ (opis pogrzebu Sienkiewicza), Gomulickiego „Wspomnienia niebieskiego mundurka“, Kadena - Bandrowskiego „Wspomnienia i nadzieje“, Gerson-Dąbrowskiej „Polscy artyści“, R. Boguszewskiego „17 radioodbiorników“, Reymonta „Ave Patria“, Nalepińskiego toż! Albowiem stanowisko władz nie zostawiało cienia złudzeń: nie ma dla Polaków żadnych turniejów, ani lotów, ani ideałów, ani wspomnień lub nadziei, ani ojczyzny względnie patrii, żadnych mundurków i ma się rozumieć... radioodbiorników (für Polen nicht zugelassen!).

Skreślono Czesława Jankowskiego broszurę „Chłopi Reymonta i krytyka niemiecka“, bo krytyka tego rodzaju przestała istnieć, Makuszyńskiego „Przyjaciel wesołego diablika“, gdyż diabeł niemiecki (Mefisto) nie potrafi się weselić, na wszelki wypadek i „Antychrysta“ Rostworowskiego, Kleszczyńskiego „Białe noce“, bo nastały podczas wojny wyłącznie czarne, Chrzanowskiego „Czym był Wirgiliusz dla Polaków“, bo wiadomo doskonale

(Dokończenie na str. 4)

Tłum. MAŁGORZATA STANISŁAWSKA

Królewskiej Mości

szwagier mego najstarszego brata, chodził do mnie w konkury. A teraz obaj z Percym mniemali, że podłożem tego strasznego zajścia jest zastarzała zazdrość miłosna, pragnienie wywarcia zemsty, a nie nieprzewidziane wydarzenia wojenne.

— To będzie początek końca Ryszarda Grenvile — powiedział Jo.

Te słowa przeszyły mi serce chłodem stali. Przywołałam cicho służącego i kazałam się zanieść do swego pokoju.

Następnego dnia wyjechałam do Maddercombe, do mej siostry Cecylii, bo nie mogłam już ani chwili dłużej wytrzymać w domu mego najstarszego brata. Wendetta się rozpoczęła...

Jo, popierany przez rodzinę Champernowne'ów i czołowe rody Devonu wywierał silny nacisk, by usunąć Sir Ryszarda Grenvile ze stanowiska głównodowodzącego królewskiej armii na Zachodzie.

Przez olbrzymie zaspy śnieżne jedynie bardzo skąpe wiadomości przedzierały się do Maddercombe, a Cecylia z wrodzonym taktem i delikatnością unikała tego tematu. Ryszard wiedział, dokąd się przeniosłam, bo mu o tym napisałam i gdyby tylko chciał, mógłby do mnie przyjechać.

Z końcem marca nastała odwilż, a wraz z nią przesiąknęły do nas pierwsze od wielu tygodni nowiny.

Młody książę Walii nosił teraz tytuł głównodowodzącego wszystkimi wojskami na Zachodzie, ale jako, że był to zaledwie piętnastoletni podrostek, istotna władza spoczywała w rękach jego rady przybocznej.

— Co się dzieje w Plymouth? — spytała Cecylia.

— Trzymają się nawzajem w szachu — odparł jej mąż. — Zostawili większą część wojska, by nadal blokowała garnizon, a Grenvile z pozostałą częścią poszedł wspomagać Goringa w Somerset przy oblężeniu Taunton'u. Wiosenna kampania już się zaczęła.

Marzec ustąpił miejsca kwietniowi, a w pierwsze święto wielkanocne, daleko w dolinie, ukazał się jeździec, ubrany w barwy Grenvile'ów. Osadził konia w dziedzińcu i natychmiast oznajmił, że pragnie się widzieć z Jejmość Panną Harris. Kiedy się doń zbliżyłam, zasalutował z czołobitnością i wręczył mi list.

— O co chodzi? — spytałam, nim jeszcze zdążyłam złamać pieczęć. — Czy się co stało?

— Generał jest ciężko ranny — odparł żołnierz — w bitwie pod Wellington House, koło Taunton.

Szybko rozdarłam kopertę i przeczytałam drżącą ręką Ryszarda nagryzmolone słowa:

„Kochana, stało się coś całkiem paskudnego. Wygląda na to, że stracę nogę, o ile nie zgoła życie, od tej ohydnej dziury, którą mi zrobili w udzie. Mam teraz możność doświadczyć twoich cierpień. Przyjedź nauczyć mnie cierpliwości. Kocham Cię.“

Złożyłam starannie list i odwróciwszy się do posłańca, spytałam, gdzie leży Generał.

— Gdy wyjeżdżałem, właśnie go mieli wieźć z Taunton do Exeter, — odparł.

Spojrzałam na Cecylię, która stała przy oknie.

— Czy byłabyś tak dobra powiedzieć Matty, by spakowała moje rzeczy i postarał się o konie i lektykę? Wyjeżdżam do Exeter — rzekłam cicho.

Kiedy po sześciu dniach podróży nareszcie dotarłam do stolicy Devonu i ujrzałam ogromną katedrę, piętrzącą się wysoko nad miastem, doznałam wrażenia, jak gdybym nie parę dni, lecz długie tygodnie spędziła wędrując wiejskimi gościńcami.

Ryszard żył jeszcze. O to pytałam przede wszystkim; tylko to było dla mnie ważne w tej chwili. Mieszkał w zajeździe przy Placu Katedralnym.

Gdy tylko podałam swoje nazwisko, pojawił się na progu jakiś młody oficer, o rudawych włosach i sposobie bycia, który mi bardzo kogoś przypominał. Poprosił, bym zaczekała chwilkę, nim będzie mógł mnie zaprowadzić we właściwe miejsce. W tejże chwili jego ujmujący uśmiech naprowadził mnie na słuszny domysł:

— To ty jesteś Jack Grenvile, syn Bevila — powiedziałam.

— Stryj ucieszy się ogromnie, jak Waszą Miłość zobaczy — mówił Jack, gdy wynoszono mnie z lektyki. — Odpędził od swego łoża co najmniej dziesięć kobiet, które go miały pielęgnować, wymyślał im, że są niezdarne i nie umieją mu rany opatrzyć. „Matty mi to zrobi“, mówił, „A Honorata będzie ze mną rozmawiać“.

W tym momencie sługa Ryszarda zszedł po schodach, mówiąc, że Generał życzy sobie natychmiast widzieć Jejmość Pannę Harris. Eskortowana przez Jack'a przebyłam w swym ruchomym fotelu długi korytarz, prowadzący do pokoju Ryszarda.

Jack przysunął mój fotel do łóżka i wtedy zobaczyłam ręce Ryszarda, wyciągające się ku mnie.

— Ach! — zawołał z głębokim westchnieniem. — Przyjechałaś nareszcie!

— Otrzymawszy twój list nie zwlekałam ani chwilki — odrzekłam.

Nie było chyba na świecie trudniejszego pacjenta, niż Ryszard Grenvile, ani pielęgniarki, któraby sobie mniej robiła z jego gróźb, ryków i wymysłów, niż Matty. Moja rola, chociaż nie tak ściśle określona, wymagała jednak wielkiej równowagi ducha. Będąc kobietą, nie byłam narażona na krzyki, których nie szczędził swym nieszczęsnym oficerom, musiałam jednak znosić wiele gorzkich oskarżeń.

Nie opuszczał łoża przez jakieś pięć tygodni, aż wreszcie z końcem maja był już zdrów na tyle, że mógł chodzić po pokoju o lasce, równocześnie zwymyślając swój udręczony sztab za lenistwo i bezczynność.

Tymczasem Rada Przyboczna Księcia Walii zjechała do Exeter, by odbyć naradę z Sir Ryszardem Grenvile. Co się naprawdę rozegrało poza zamkniętymi drzwiami nigdy się nie dowiedziałam. Ilekroć członkowie Rady usiłowali przystąpić do rzeczy, Ryszard natychmiast ich zakrzykiwał tyradami przeciwko burmistrzowi miasta, Sir Johnowi Berkeley, który, jak twierdził Ryszard, od dziewięciu miesięcy zajmował się wyłącznie rzucaniem mu kłód pod nogi. Co zaś do Komisarzy w Devonie, to byli to sami zdrajcy, którzy pragnęli tylko naładować sobie kieszenie, a broń Boże nie wydać nic na armię, walczącą w ich obronie.

— Niech Berkeley weźmie na siebie Plymouth, skoro tak tego pragnie — oświadczył Ryszard (tak mi potem opowiadał) — Bóg mi świadkiem, jaka to dla mnie niedola, musieć tkwić na jednym miejscu i blokować jakieś głupie miasto, kiedy jest tyle do roboty w polu. Dajcie mi pełnomocnictwo na pobór rekruta w Kornwalii i Devonie, tak, żebym się nie musiał obawiać żadnych przeszkód, a postawię do dyspozycji księcia Walii taką armię, że tym kromwellowskim purytanom skóra ścierpnie ze strachu!

Następnie wręczył lordom z Rady oficjalną rezygnację ze stanowiska dowódcy wojsk, oblegających Plymouth i odesłał ich z powrotem do księcia Walii, z prośbą o nominację na nowe stanowisko.

18 czerwca król, wraz z księciem Rupertem poniósł poważną klęskę w bitwie z wojskami generała Cromwella pod Naseby. Armia buntownicza pod dowództwem generała Fairfax'a ponownie maszerowała na zachód.

Następnego rana, właśnie w chwili, kiedyśmy jedli śniadanie, przybył goniec z wieścią, że Fairfax zdobył Bridgewater gwałtownym szturmem, że Rada Książęca umknęła do Launceston, książę zaś wydał polecenie, by Sir Ryszard Grenvile wyruszył bez zwłoki z tym wojskiem, jakie miał w tej chwili przy sobie i połączył się z nim w Kornwalii.

Oddalone od Ryszarda o jakieś dwa dni drogi, posuwałyśmy się za nim wraz z Matty, pod niewielką eskortą. Ryszard polecił nam się udać do Werrington House, koło Launceston. Przyjechawszy na miejsce, zastałyśmy tam Ryszarda w świetnym humorze. Po dość przykrej trzygodzinnej rozmowie, odbytej z Panami Radą, został ponownie dopuszczony do łask książęcych. Rozmowa z Panami Radą byłaby jeszcze o wiele bardziej przykra, gdyby jego usługi nie były im w tej chwili tak bardzo potrzebne.

— Coście uradzili? — spytałam.

— Goring ma ruszyć na północ i powstrzymać armię buntowników — odrzekł Ryszard. — Ja natomiast zostaję w Kornwalii i staram się powołać pod broń ze trzy tysiące żołnierza. Żałuję, że to nie mnie wysłali na tego Fairfaxa, bo Goring tam na pewno nic nie wskóra.

Zamieszkałyśmy razem z Matty w Werrington, Ryszard zaś nieustannie jeździł po całym kraju, pochłonięty organizowaniem armii Księcia Walii. Nie było to łatwym zadaniem. Ostatnia inwazja dała się mocno we znaki ludności Kornwalii. Mężczyźni pragnęli tylko jednego: by ich zostawiono w spokoju i pozwolono bez przeszkód zajmować się pracą na roli i w gospodarstwie. Nie było tu łatwiej o pieniądze, niż w Devonie, a przy tym bezwzględne postępowanie Ryszarda napawało mnie niejasną obawą. Ci, którzy bez żalu ulegliby, gdyby ich traktowano z taktem, bardzo niechętnie poddawali się naciskowi. Wskutek tego w ciągu lata i wczesnej jesieni 1645 roku Ryszard zyskał sobie w Kornwalii tyluż wrogów, ilu ich już miał w Devonie.

(D. c. n.)

Wśród czasopism

„Zrezygnowany" już dyrektor Departamentu Teatru w Ministerstwie Kultury i Sztuki, Michał Rusinek często w swych ustnych i pisemnych wypowiedziach umieszczał w rejestrze zasług swojego departamentu ustanowienie funkcji kierownika literackiego, którego zadaniem jest odpowiedzialne kierowanie polityką repertuarową danego teatru. Stanowisko to miało stanowić wymowny dowód wpływów czynnika literackiego na teatr i miało otworzyć drogę na sceny nowym sztukom i nowym pisarzom dramatycznym.

Stało się jednak inaczej. Dowodem tego są liczne wypowiedzi kierowników literackich różnych teatrów, m. in. Stefana Otwinowskiego, Adama Polewki, Jarosława Iwaszkiewicza i innych. Wypowiedzi te rzadko pojawiały się na piśmie, częściej można je było usłyszeć na zjazdach i konferencjach. W ostatniej jednak *Arkonie* (nr 11-12) w polemice Wandy Karczewskiej z Adamem Grzymałą-Siedleckim na temat Teatru Polskiego w Poznaniu znalazło się miejsce na opisanie tego wszystkiego, co autorka określa jako „fikcję kierownictwa literackiego w naszych teatrach". Karczewska sama, jak z artykułu wynika, pełniła funkcję kierownika literackiego w Teatrze Polskim w Poznaniu przez siedemnaście miesięcy i zrezygnowała z tego stanowiska na skutek ustawicznych wynikających ze spraw repertuaru nieporozumień z dyr. Stomą. Faktów tych nie trudno było się domyśleć, gdyż teatry poznańskie były w „Arkonie" w recenzjach Karczewskiej „rżnięte" systematycznie i dokładnie przez cały niemal rok ubiegły. Można by więc wypowiedź jej uznać za stronniczą, za wynik osobistych rozgrywek, ale niestety przytoczone przez nią fakty mają tak identyczne odpowiedniki w innych teatrach, że muszą być chyba uznane za bezsporne i za obiektywne.

Oto kilka stwierdzeń Karczewskiej: „Ryzykuję z całą świadomością twierdzenie, że w niektórych teatrach (nie we wszystkich jednakże) kierownictwo literackie jest fikcją, z którą po okresie zorientowania się w tej funkcji nie zgodzi się żaden z szanujących się i mających poczucie odpowiedzialności ludzi pióra". „W niektórych teatrach — według opinii dyrekcji — kierownik literacki jest złem koniecznym, którego uniknąć się nie da. W ustalaniu repertuaru, do opracowywania którego powoływana jest w tych teatrach także Rada Artystyczna, składająca się z 5—7 osób, kierownik literacki ma jeden głos, będący nieraz głosem wołającego na puszczy. Jeżeli dyrekcja teatru jest przeciwnego zdania niż kierownik literacki, nie ma żadnej siły, aby postulaty jego były brane pod uwagę. Ustalony i zatwierdzony przez Ministerstwo plan repertuarowy też bywa w ciągu sezonu nie dotrzymywany lub wręcz zmieniany, widzieliśmy to po zeszłorocznych zapowiedziach i osiągnięciach teatrów poznańskich i nie poznańskich". „Dyrekcja teatru, jeżeli chce znajdzie tysiąc wyjść, aby sztuk forsowanych lub proponowanych przez kierownika literackiego nie grać, względnie przeciwnie wystawiać utwory odrzucane przez niego" (...) „Kierownik literacki, ta — jak się wyraził ostatnio jeden z dyrektorów — „zmora teatru", używany jest najchętniej w pewnego rodzaju teatrach i spychany do roli agencji reklamowej teatru, a więc do pisania artykułów reklamowych w programach i prasie, do preparowania komunikatów zachwalających sztukę i grę aktorów wbrew nieraz najbardziej oczywistej oczywistości".

To są najważniejsze zarzuty postawione obecnemu stanowi rzeczy na odcinku kierownictwa literackiego w naszych teatrach przez Karczewską. Stwierdzić należy ich prawdziwość i ich potwierdzenie w pracy wielu teatrów w Polsce. Stan jest pod tym względem fatalny a jego wynikiem są cuda, cudeńka repertuarowe, którym czasem się wierzyć nie chce. Jego rezultatem są i takie fakty, że podobno teatr opolski wyjeżdża z przedstawieniami reprezentacyjnymi do Czechosłowacji w ramach pogranicznej wymiany kulturalnej i to z „Bolesławem Śmiałym" Wyspiańskiego. Jeśli teatry zamierzają traktować stanowiska kierowników literackich jako środek do „zatykania gęby" takim czy innym spragnionym łatwego zarobku literatom, jeśli pragną uważać te stanowiska za konieczny i nieunikniony haracz na rzecz ZZLP, jest rzeczą konieczną, by sam Związek Literatów podniósł przeciw temu stanowczy protest, który winien posunąć się w wypadku konieczności do wydania zarządzenia o wycofaniu kierowników literackich i do odmówienia obsady tych stanowisk. Nowym dyrektorem Departamentu Teatru jest Stanisław Ryszard Dobrowolski, dramaturg i b. sekretarz generalny ZZLP. Na niego spada obowiązek uporządkowania tej kwestii w sposób **radykalny i zasadniczy. Nie może nadal istnieć fikcja kierownictwa literackiego i nie mogą istnieć kierownicy literaccy, którzy przez swoją pracę już stają się fikcją.**

Zjawiskiem w prasie katolickiej godnym zanotowania jest reaktywowanie mającego swą tradycję miesięcznika księży jezuitów, *„Przeglądu Powszechnego"*. Skoro mówimy o fikcjach, rzeczą potrzebną jest stwierdzenie, że określenie „miesięcznik" w stosunku do tego periodyku jest też fikcją. Miesięcznik ten bowiem ukazał się z datą styczeń-czerwiec 1948 w objętości 80 stron dawnego formatu, co najwyraźniej świadczy, że będzie wychodził dwa razy do roku. *Przegląd Powszechny* był zawsze pismem bardzo szanowanym, poświęconym zagadnieniom religii, moralności, etyki i sprawom nauki ujmowanym ściśle w duchu katolickim. Mógł się poszczycić współpracą wielu wybitnych piór ze sfer duchownych i świeckich. Skupiał przede wszystkim na swych łamach najbardziej aktywnych i najbardziej intelektualnie zaawansowanych jezuitów, a takich ludzi miał ten zakon przed wojną sporo. Wojna odnowiła skład współpracowników *Przeglądu* niemal zupełnie. Nie spotykamy tu już nazwisk wybitnych intelektualistów zakonu Towarzystwa Jezusowego, których znała cała katolicka Polska, ale pojawienie się nowych nazwisk i wskazówka, że pismo redagują „pisarze Towarzystwa Jezusowego" mówi, że tworzy się nowe ognisko intelektualne w tym zakonie. W omawianym zeszycie pisarze zakonni i duchowni mają zasadniczo przewagę. Z pisarzy świeckich *Kazimierz Szwarcenberg-Czerny* w artykule „Problem polskiego konkordatu" przeprowadza rzeczową, prawną krytykę postępowania Rządu w stosunku do Watykanu w sprawie zerwania konkordatu, dochodząc do wniosku, że mimo jednostronnego zerwania konkordatu prawnie jego postanowienia nadal obowiązują a rzecz ma niekorzystne znaczenie dla państwa przez niemożność wykorzystania przywilejów, jakie rządowi Konkordat zapewniał, a prof. *Władysław Konopczyński* pisze obszernie i interesująco o trwałych kryteriach sądu historycznego. Ponadto prof. *Czesław Białobrzeski* uzupełnia artykuł *ks. Stanisława Wawryna* o *Bezwzględności dobra i zła* uwagami o fizyce wobec zagadnień materializmu i idealizmu. Poza tym jest jeszcze artykuł *Marii Winowskiej* o *Duchu mistycznej jedności*, ale część literacka przedstawia się już słabo. Obszerne recenzje daje Zofia Starowieyska-Morstinowa, która na te same tematy wypowiadała się już w *Tygodniku Powszechnym*, a Jerzy Kierst robi pobieżne sprawozdanie z teatrów warszawskich, które w całości układu półrocznego zeszytu wygląda zupełnie przypadkowo.

Trudno pismu wróżyć z tych skromnych początków przyszłość, ale *Przegląd Powszechny* powinien stać się obok *Znaku* drugim poważnym miesięcznikiem katolików polskich. *(ki)*

PS. W moich „Przeglądach" wkradają się błędy, przez niedopatrzenie korektorskie. Na początek biorę numer 1—2 (110—111) z dnia 4—17 stycznia. Oczywiście nie chciałem tam zwracać uwagi na „fakt Edwarda Csato", lecz na jego *artykuł*, oczywiście w cytacie z jego artykułu nie chodziło o *„dedykowanie* obrazu świata", lecz o dedukowanie; właściwe słowo winno brzmieć „dedukując", a dwie linijki przed tym zamiast „pewna siebie", winno być „pewność siebie".

TEATR

Marian Jastrzębski, Jan Żardecki i Jerzy Fitio w „Pastorałce", granej przez zespół Państwowego Teatru Śląskiego

Na Małej Scenie Państwowego Teatru Śląskiego w Katowicach wystawiono ostatnio „Pannę Maliczewską" G. Zapolskiej, w reżyserii Edwarda Żyteckiego. Na zdjęciu (od lewej): Bolesław Mierzejewski (Bogucki), Maria Pawluśkiewicz (Maliczewska) i Władysław Brochwicz (Daum)

Edward Żytecki — reżyser Państw. Teatru Śląskiego

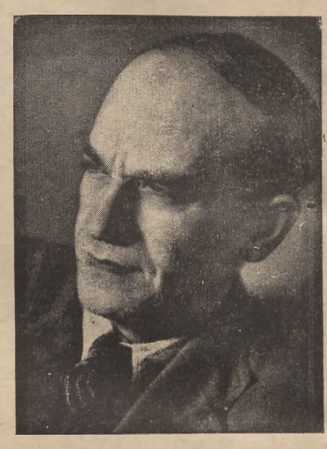

Na hitlerowskim indeksie

(Dokończenie ze str. 3)

władzom, że był niczym, Kraszewskiego „Upiór", bo nie dopuszcza się dzisiaj aluzji do upiorów, ani Mellerowicza „Premières leçons de Francais", bo mowy nie ma o nauce języka francuskiego dla Polaków. Nie ma też „Pozgonnej czci dla księcia Józefa" (Mościckiego), ani „Granic świata" Wierzyńskiego, albowiem ... dla Wielkich Niemiec nie ma żadnych granic.

Pieczołowitą opiekę roztoczono nad działem muzyki, wyróżniając „Pierwsze śpiewki", „Czytanki muzyczne", „Pieśni szkolne na 3 głosy", „Dydaktykę", „Zbiór pieśni do użytku w ogrodach dziecięcych", „Śpiewnik gwiazdkowy", „Ćwiczenia wstępne do nauki szkolnego śpiewu zbiorowego", Stanisława Kazury „Polską pieśń ludową na chór mieszany a capella (zeszyty I—VIII)" i obfitą wiązankę innych. Nie ma w czwartym roku „nowego ładu" wycieczek w krainę muzyki, a cóż dopiero w towarzystwie orkiestry kameralnej. Co najwyżej mogą ją Polacy dostać jeko eskortę do kopania rowów przeciwczołgowych.

Trzeba też Polakom energicznie wybić z głowy niepoprawne marzycielstwo, więc Smolarskiego „Poszukiwacza złota", Kossak „Bez oręża", Anonima „Zaręczyny pod kulami" (sztuka dla teatrów amatorskich), dla poważniejszego zaś traktowania zakazu: „Manifest Towarzystwa Demokratycznego Polskiego z 1836 r."

Po co poddanym zaplecza „Szopka" i „Cztery komedyjki" Or-Ota, „Przewodnik świetlicowy", po co Orzeszkowej „ABC", „Babunia", „Siteczko, czy pamiętasz?" Po co Patermana „Pożycie małżeńskie"?

Wzbudziło poważne wątpliwości, czy zostawić Polakom „Szary proch", „Pożary i zgliszcza"... Zdecydowano się i to skreślić, gdyż nie ma żadnych zgliszcz w krainie miodem i mlekiem płynącej pod godłem GG. Na wszelki wypadek jednak trzeba im wyrwać z rąk na przemiał egzemplarze „Lata leśnych ludzi", „Niedobitkowskiego z granicznego bastionu" i „Światła", tudzież Kadena-Bandrowskiego „Nad brzegiem wielkiej rzeki".

Po co młodzieży szkolnej bryk: „Charakterystyka literacka Zygmunta Krasińskiego" J. Maciejowskiego, czyż im nie wystarczają charakterystyki innych pisarzy? Na co im w r. 1943 czytać „Bilans społeczny za rok 1938" (wyd. Biblioteka Polska), albo zwiedzać Łowicz z jakimś „Przewodnikiem" Kwiatkowskiego?

Jak pilnie cenzorzy studiowali literaturę polską, świadczy uwzględnianie w indeksie tytułów takich jak: Szwarcenberga-Czernego „Położenie prawno-suwerenne rycerskiego zakonu Św. Ducha w Polsce", Pollaka „Paweł Chyć", Askenazego „Uniwersytet warszawski", tegoż „Die letzte Königswahl", Kubali „Oblężenie Zbaraża i pokój pod Zborowem", Piotrowicza „Wschodnie zagadnienia wyznaniowe", Pogonowskiego „Syn Beliry w twórczości Ossendowskiego", Szweykowskiego „Lalka Bolesława Prusa" i tegoż „Dramat Dygasińskiego". Co za zdumiewające oczytanie! Co za pedanteria w traktowaniu sprawy! Zapewne cenzorzy posiadali miarodajne informacje, że publiczność polska żądała masowo tych książek, niepożądanych ze stanowiska bezpieczeństwa III Rzeszy, po czytelniach, bibliotekach i antykwarniach.

W mało którym wypadku wnikano bliżej w treść wydawnictw. Ograniczano się do pobieżnej orientacji w ich charakterze i tematyce, a często tylko do nazwiska autora (pisarze wojskowi i polityczni, historycy polscy, Żydzi potępieni in gremio). Dążenie generalne rzucało się momentalnie w oczy: walka z duchem polskim, w najmniejszej jego odrobinie. Bodajby popełniono mnóstwo pomyłek, bodajby dowiedziono niebotycznej ignorancji i głupoty, bodajby znaleziono w książce jedno zdanie dla „hitlerii" politycznie podejrzane lub nieprzyjemne, równało się to rozkazowi: Raus! Na zagładę!

Książki należy złożyć w terminie do 15 lutego 1943 (w Warszawie), Propaganda-Abteilung itd., w przeciwnym razie — najdalej idące konsekwencje.

I cóż ilustruje dosadniej misję kulturalną owych czarnych sępów, naszych ponurych mentorów, którzy wysilali się we wszelkich środkach przemocy nad wyrywaniem nam języka ... by usta nie przemawiały, nie posługiwały się słowami obcojęzycznymi, nie modliły się, nie śmiały się i nie śpiewały ...

Antoni Trepiński

Caveant consules!...

Jako jeden z nielicznych czytelników „Jantara" i jako „przeglądacz prasy" spowodowałem mimo woli bardzo pożyteczną, ciekawą i pouczającą polemikę. Pisząc przed kilku tygodniami o świeżym zeszycie „Jantara", zwróciłem uwagę na obszerną recenzję nagrodzonej przez „Odrę" „Sagi o jarlu Broniszu" Jana Władysława Garbskiego, pióra niestety nieznanego mi bliżej p. Kazimierza Myślińskiego. Autor tej recenzji ostro skrytykował realia historyczne „Sagi" i historiozofię jej autora, która jego zdaniem może się przyczynić tylko do rozdmuchania megalomanii narodowej.

Dzięki temu mojemu sprawozdaniu wiadomość o tej recenzji dotarła do autora „Sagi", czego wynikiem jest jego obszerna replika, którą poznałem na razie w maszynopisie. Replika ta rewanżuje się z kolei p. Myślińskiemu, nie zostawiając na nim suchej nitki jako na historyku. Grabski w 17 punktach zbija zarzuty p. Myślińskiego, posługując się obficie cytatami z dzieł licznych historyków polskich i obcych. Broni nie tylko prawa do swojego brzmienia faktów histprycznych, ale i do swojej koncepcji historiozoficznej. Dla mnie literata, „otrzaskanego" trochę z argumentacją historyczną broni przekonywająco. Nie na wesoło i nie przez złośliwość cytowałem zdania p. Myślińskiego. Sam bowiem odczułem w „Sadze" jedną cechę i zaletę, której, o ile się nie mylę, nie podkreśliła dotychczas krytyka, to mianowicie, że książka ta zbliża czytelnikowi polskiemu tak wyobcowane już z jego uczuć narodowych dalekie, odzyskane ziemie nadmorskie, morską przeszłość Polski u zarania dziejów, że uczy ziemie te kochać na nowo. Pamiętam doskonale jak bezpośrednio po przeczytaniu „Zrękowin w Upsali" rzuciłem się chciwie na krajoznawczy opis wysp Wołyń i Uznam w miesięczniku „Ziemia". Szukałem powiązania przeszłości przedstawionej przez Grabskiego z dniem dzisiejszym. I znalazłem.

Bez wątpienia obowiązkiem p. Myślińskiego będzie odpowiedzieć na dyskredytującą go obronę Grabskiego. Polemika ta rozegra się prawdopodobnie w „Jantarze". Pozycja „Sagi o jarlu Broniszu" chyba nie wyjdzie z niej zachwiana.

Przy okazji warto zaznaczyć, że przekładem „Sagi" zainteresowano się w Anglii, Danii, Francji, Czechosłowacji i we Włoszech. *(ki)*

Krótkie spięcia

Dzień jego »Powrotu«

Właściwie co skłania ludzi do pisania wierszy ...? Licho wie, rozmaicie o tym rozmaici mówili, mówią i mówić będą — w każdym bądź razie wypada stwierdzić, że gdyby istniało jakieś planowanie w dziedzinie wierszomanii, to oddawna już by ono musiało wziąć w łeb. Na tym bowiem, że się tak wyrazimy, odcinku panuje u nas od dawna straszliwa nadprodukcja, która przekracza wszelkie możliwe granice, a o której niebezpiecznych rozmiarach może powiedzieć każda redakcja każdego pisma, otrzymująca codziennie formalne zwały wierszy najbardziej nieoczekiwanego gatunku i kalibru. Co z tym fantem zrobić? Z tym fantem robi się oczywiście stale jedno i to samo, to znaczy całą ową fantastyczną twórczość wrzuca się do kosza — ale to nic nie pomaga. Domorośli poeci przypominają niektóre gatunki owadów, jak na przykład chrząszczyka Kolorado lub bielinka kapustnika, rozmnażających się w pewnych okresach bez pamięci, ładu i składu, tak, że wtedy zamiast normalnego przyrostu mamy do czynienia z jakąś owadzią powodzią czy nawałnicą.

O ile jednak chrząszczyk Kolorado czy bielinek kapustnik za swą płodność nie roszczą sobie do nikogo specjalnej pretensji, o tyle domorośli poeci wysuwają z tego tytułu daleko idące żądania.

I tak na ten przykład do „Kuriero Szczecińskiego" wpłynął niedawno następujący list, użyczony nam uprzejmie do wykorzystania przez Redakcję tego pisma:

„Szanowna Redakcjo „Kur. Szczecińskiego".

Przysyłam i proszę o wydrukowanie w dodatku „Raz na tydzień" poniższe wiersze. Uważam, że w interesie państwa i narodu warto je drukować w Szczecinie. Jeśli chodzi o mnie, t. zn. autora, to Redakcja może zasięgnąć opinii: 1) u ob. Wandy Wasilewskiej, która redagowała pisma moskiewskie Związku Patriotów Polskich w Z. S. R. R., 2) w Zarządzie Powiatowym Związku Osadników Wojskowych w Słupsku, ul. Stalina 3, 3) w Rejonowej Komendziej Uzupełnień, Sławno, ul. M. Roli-Żymierskiego, 4) w Dyrekcji Okręgowej Kolei Państwowych w Szczecinie, ul. 3 Maja. Jestem pewny, że Redakcja nie odmówi mej prośbie i wydrukuje wiersze, bo jeśli nie, jak to już w paru miejscach zdarzyło się, to zwrócę się do Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego o interwencję, gdyż nie widzę innej drogi. W razie potrzeby mogę stale zaopatrywać Waszą Redakcję w wiersze według zamówienia.

Z głębokim poważaniem

„Powrót".

W dopisku „Powrót" wyjaśnia, że to jest tylko jego pseudonim, i podaje przy tym swoje nazwisko, domagając się jednak co do niego dyskrecji. Proszę bardzo, nam wystarczy w zupełności sam „Powrót", bez nazwiska. Smolimy nazwisko.

Otóż, jak widzimy, z „Powrotem" nie ma żadnych żartów. Chłopak ma referencje, jak się patrzy, nawet sam Związek Osadników w Słupsku może za nim świadczyć, nie mówiąc oczywiście o R. K. U. w Sławnie i o Dyrekcji Kolejowej w Szczecinie.

No, a już wzmianka o Urzędzie Bezpieczeństwa jest tak przekonywająca, że nie wymaga chyba wielu komentarzy. Nasze Władze Bezpieczeństwa zajmują się innymi sprawami a nie zamieszczaniem wierszy w gazetach!

No, ale ponieważ p. „Powrót" powołuje się, jeśli chodzi o ważność jego wierszy, na interes narodu i państwa, więc w interesie tegoż narodu i państwa jeden z poetyckich utworów panapowrotowych postaramy się zamieścić. Będzie to wiersz liryczny p. t. „Rozterka". Posłuchajmy:

„Znalazłem gwiazdę i straciłem
I widzę czarny mrok i noc,
I w jedną noc 100 lat przeżyłem
I diabeł wziął nade mną moc."

Trochę za dużo jest tutaj tego „i", ale w każdym razie wiemy, że rzecz macała się w nocy, i że diabeł wziął noc w moc i zapewne, jak to diabeł, powiedział: Hoc, hoc!

Cóż jednak dalej? Dalej działo się tak:

„Zadrżała dusza, ręce drgnęły
I ciałem wstrząsnął spazm i lęk,
A włosy jeżem mi stanęły
I z ust się wyrwał szloch i jęk."

A nogi, panie „Powrót", a nogi ...? Co z nogami się wtedy działo, do kroćset fur beczek batalionów, jak mawiają starzy wiarusi ...?! Ha?

Niestety, o nogach pan „Powrót" nic nie wspomina, ale za to przechodzi do tzw. organów wewnętrznych ciała:

„We wnętrzu łamie się i pieni
Gorączka jak choroby znak,
I ciąży tak jak wóz kamieni,
Że w piersiach robi się tchu brak."

Kliniczne te objawy wskazują nam, że z autorem jest rzeczywiście źle, zwłaszcza że gorączka u niego się pieni oraz łamie (bardzo rzadki wypadek, dotychczas nieznany internistom), a potem do tego jeszcze tak ciąży, że z tego „robi się tchu brak". Robi się! Cholera!

Ale nie tylko gorączka u pana „Powrota" się łamie, lecz również rozpacz oraz dusza, o czym dowiadujemy się z następnej zwrotki:

„Nie widzę nigdzie ukojenia
Bo rozpacz łamie, rozpacz żre,
A dusza łamie się i zmienia
I jak gorąca woda wre."

Straszny musi być widok takiej duszy łamiącej się i wrzącej jak gorąca woda, niemniej jednak woda (H O) prosi nas o zaznaczenie, że ona w normalnych warunkach zaczyna dopiero wrzeć przy temperaturze 100 stopni C, a nie, jak jest tylko gorąca. Upraszamy więc autora w interesie fizyki o odpowiednie sprostowanie tego fragmentu poetyckiego.

No i go naturalnie równocześnie zaklinamy: Kończ waść, wstydu oszczędź ...!

Pan „Powrót" też kończy i finiszuje w następujący sposób:

„Na ustach czuję zimno lodu,
Płomieni żar i octu smak,
I wiem, z jakiego to powodu
Tak jest, i czego mi jest brak.
W lirycznym wierszu wypowiadam
Nieukojony żal i ból,
Co nie ma granic, bo posiada
Jątrzącą rany gorzką sól."

My też wiemy, z jakiego to powodu! Tak jest! To z powodu tej — gorzkiej soli! Gorzkiej soli, panie „Powrót", nie używa się bowiem na jątrzące rany, lecz — na przeczyszczenie! Trzeba więc koniecznie ją wziąć na to przeczyszczenie, a zobaczy pan, że będzie jak ręką odjął. I dusza przestanie się łamać, i płomieni żar zniknie, i octu smak, i zimno lodu, oraz nieukojony żal i ból — a przede wszystkim po zażyciu gorzkiej soli przestanie pan, panie „Powrót", pisać wiersze.

Czego panu z całego serca życzy Niejaki X.

Tydzień Katowic

od 5 do 11 stycznia 1948

ODCZYTY:

9. 1. 48. Śląsko-Dąbrowskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk zorganizowało odczyt w Instytucie Śląskim Dr Marii Ossowskiej p. t. „O tak zw. moralności mieszczańskiej".
10. 1. W sali Instytutu Śląskiego Prezydium Wojewódzkiej Rady Kultury w Katowicach zorganizowało „Czarną Kawę" dla przedstawicieli Związków Artystycznych, w czasie której Konrad Winkler wygłosił prelekcję na temat „mecenatu ludowego".
W dyskusji wzięli udział reprezentanci Związku Literatów, Plastyków, Muzyki oraz partii politycznych.

TEATR:

9. 1. Na małej Scenie Państw. Teatru Śląskiego odbyła się premiera sztuki Gabrieli Zapolskiej „Panna Maliczewska" w reżyserii Edwarda Żyteckiego.
10. 1. Na dużej scenie Teatru im. Wyspiańskiego w Katowicach odbyła się premiera misterium ludowego „Pastorałka" Leona Schillera. Reżyseria Wł. Krasnowiecki, dekoracje W. Makojnika, balet Wysockiej muzyka L. Schillera i J. Maklakiewicza. Dyrygował K. Stryja.

·CZYTELNIK·

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA

OSTATNIE NOWOŚCI

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

HISTORIA O JANASZU KORCZAKU I O PIĘKNEJ MIECZNIKOWNIE

Powieść obyczajowa z końca XVII wieku, o dramatycznych perypetiach miłosnych biednego, szaraczkowego szlachcica i posażnej edynaczki z możnego domu. W olbrzymim dorobku literackim Kraszewskiego utwór ten wyróżnia się plastyką w kreśleniu galerii postaci powieściowych oraz niezwykle żywą, niemal sensacyjną akcją.

2 tomy
zł 270

DWA WIEKI POEZJI ROSYJSKIEJ

Antologia.

Ułożyli i opracowali Jastrun M., Pollak S. Posłowie Gomolickiego L. Z 24 portretami.

Szczytowa pozycja w dorobku wydawniczym „CZYTELNIKA" dzięki pięknej szacie graficznej. Na treść jej składają się przekłady liryki rosyjskiej z ostatnich dwustu lat. Jest to więc równocześnie obraz historii i techniki polskiego przekładu z zakresu poezji rosyjskiej. Źródłowe i wnikliwe posłowie L. Gomolickiego doskonale orientuje czytelnika w etapach rozwojowych poezji rosyjskiej.

Str 487
zł 900

MAKSYM GORKI

DZIECIŃSTWO

Tłum. Bilska K.

Autobiograficzna powieść odtwarzająca niezwykle ciężkie dzieciństwo wybitnego pisarza na tle drobnomieszczańskiego życia i obyczajowości. Pomimo skrajnie realistycznego ujęcia obrazów ówczesnej rosyjskiej rzeczywistości — powieść przenika nastrój optymizmu dzięki sile i odporności psychicznej głównych postaci utworu.

Str 206
zł 280

RYSZARD MAŃUGIEWICZ

WIELKI SZTORM

Interesująca powieść marynistyczna o niezwykłych przygodach 13-letniego Kaszuba i brawurowych wyczynach polskiej marynarki w okresie ostatniej wojny. Książka Manugiewicza wzrusza głębokim patriotyzmem i atmosferą serdecznej, rodzinnej przyjaźni, bawi niefrasobliwym marynarskim humorem, ale przede wszystkim uczy kochać morze i marynarski zawód i cenić piękno sumiennie spełnionego obowiązku.

Str 237
zł 450

JULIAN TUWIM

ZOSIA SAMOSIA I INNE WIERSZYKI

Ilustr. Ha - Ga

Pełne poezji i humoru wierszyki, których artyzm polega na połączeniu pierwiastka realistycznego z fantazją, przy wyjątkowej prostocie i oszczędności środków. Urok książeczki podnoszą bogate wielobarwne ilustracje.

Str 37
zł 500

JANINA BROŃIEWSKA

HISTORIA TOCZONEGO DZIADKA I MALOWANEJ BABKI

Ilustr. Wielhorski Cz.

Dzieciom wychowanym w epoce radia książka wesoło opowiada o drewnianych zabawkach sprzed kilkudziesięciu lat. Ciekawe obrazki z dziejów dawczesnej kultury zręcznie wpleciono w treść.

Str 101
zł 300

JANINA BROŃIEWSKA

HISTORIA GAŁGANKOWEJ BALBISI

Ilustr. Sopoćko K. M.

Opowiadanie o gałgankowej lalce, która przynosi szczęście gromadce ludzi pracy. Niezwykle piękna szata zewnętrzna książki podkreśla żywe i barwne ujęcie tematu.

Str 68
zł 260

LUCYNA KRZEMIENIECKA

PAN KLET I JEGO KLEJNOTY

Ilustr. Karolak J.

Pogodne opowiadanie o promieniującym dobrocią poecie i jego tajemnicze szkatułce z perłami. Życie pana Kleta jest przykładem uczynności, życzliwości dla otoczenia, a jego wiersze wprowadzają dziecko w zaczarowany świat fantazji.

Str 47
zł 400

M. ILJIN

JAK SAMOCHÓD UCZYŁ SIĘ CHODZIĆ

Tłum. Dulbińska St.
Ilustr. Gotwa J.

Historia samochodu ożywiona humorystycznym przedstawieniem jego zwycięskiej walki z dwoma rywalami: dyliżansem i parowozem i z wrogiem największym-ludzkim zaufaniem i lękiem nowości. W ujęciu tematu uderza wyjątkowa obrazowość i francuska lekkość wykładu. Świetny dobór ilustracji podnosi wartość metody poglądowej.

str 21
zł 50

JANINA DĄBROWSKA FLIZA PETRUSEWICZOWA

GEOGRAFIA GOSPODARCZA EUROPY I WYBRANYCH PAŃSTW POZAEUROPEJSKICH

Jest to zwięzły podręcznik zatwierdzony przez Ministerstwo Oświaty do użytku szkolnego. Materiał dotyczący stosunków gospodarczych rozszerzony i zaktualizowany. Uwzględniono zmiany zaszłe w strukturze gospodarczej i społeczno-politycznej Niemiec, Austrii, Węgier, Rumunii, ZSRR i Włoch. Książka, z której korzystać powinien nie tylko uczeń, ale każdy kulturalny człowiek.

Str 278
zł 330

Redaktor naczelny: WILHELM SZEWCZYK. Komitet Redakcyjny: Zespół „Odry". Redakcja: Katowice, 3 Maja 36a, II ptr. Telef. 325-58. Oddziały Redakcji: w Olsztynie: Jerzy Antoniewicz, OLSZTYN, ul. Kętrzyńskiego 4; — w Szczecinie: Stanisław Telega, SZCZECIN, ul. Martynowa 32. Rękopisów nie zamówionych Redakcja nie zwraca. Administracją: Katowice, 3 Maja 12. Wrocław, ul. Kościuszki 49, tel. 253. — Prenumerata mies. 60 zł, kwartalna 180 zł. Konto PKO III 4950. Ogłoszenia przyjmuje Sp. Wydaje Sp. Wyd. „Czytelnik". Złożono i odbito w drukarni nr 9 Sp. Wyd. „Czytelnik", Katowice, ul. 3 Maja 12. Tel. 31059

R 30020